

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA		CENY OGŁOSZEŃ:		
Rocznie	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26		Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.	
Półrocznie	3.50			Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.	W tekście (nadesłane)	1 rb.
Kwartalnie	1.75				Po tekście	20 k.
Miesięcznie	60	Skrzynka pocztowa № 52			Numer pojedynczy 15 kop.	
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu						
Rocznie	8.--					
Półrocznie	4.00					
Kwartalnie	2.00					
Miesięcznie	70					

Administracja „Przeglądu Wileńskiego“ posiada na składzie ograniczoną ilość kompletów pisma za rok ubiegły, po cenie 4 rb. za rocznik (bez przesyłki pocztowej).

## Wzbierająca fala.

Trudno wymagać, aby cały naród składał się z ludzi oddanych idei, gardzących życiem powszednim, gotowych do najwyższych poświęceń, bohaterów...

Stosowanie tak wysokiej miary do społeczeństwa dowodziłoby zupełnego zaniku poczucia rzeczywistości, naiwnej nieznajomości życia.

Natura ludzka bynajmniej nie uprawnia do takich iluzji; jednostki tylko mogą wspinać się po stromych ścieżkach, prowadzących do królestwa Ducha. Tylko wybrańcy, wodzowie orlim wzrokiem przebijają gęstą mgłę wyziewów, któremi bucha tłuszcza ludzka i śmiało wzrok swój kierują ku oślepiającym słońcom. Za nimi zdąża garstka wiernych, co szukają ujścia dla swych tęsknot i marzeń, co się dławią w pospolitości zabiegów i trosk przyziemnych.

Ta elita, ta najlepsza cząstka społeczeństwa, odosobniona zwykle i nierozumiana przez tłum, pełni służbę kapłańską przed ołtarzem ideału, strzegąc pilnie, by nie zagasło promieniotwórcze ognisko.

Bo, mimo całą swą obojętność i zasklepienie, ogół wchłania w siebie te promienie i podlega ich dobroczynnemu działaniu. Mniej lub więcej, — w zależności od chwili i panujących nastrojów.

W najnowszej historii narodu polskiego najsilniejszym był wpływ czynników idealistycznych w okresie romantyzmu. Społeczeństwo, narodowo uświadomione, składało się wówczas niemal wyłącznie ze szlachty, stanowiło jakby jedną wielką rodzinę. W najszczytniejszych tradycjach kultury szlacheckiej brzmiał stale ton rycerski, porywów i bezinteresownego poświęcenia, cechowały je szeroki giest i bunt przeciwko więzom, wytwarzanym przez ewolucję dziejową.

Gdy na tych strunach zagrały pieśń bojową dłonie mistrzowskie, zadrgały niemal unisono, zlewając się w jeden potężny głos uniesienia, budząc dalekie echa.

A gdy już nawet mistrzów nie stało, pod uderzeniami ich uczniów jeszcze długo struny drżały, aż popękały w rozpaczliwym akordzie...

Nadszedł okres pozytywizmu. Pomimo zmian zewnętrznych organizm społeczny pozostał ten sam. Przewaga pierwiastku szlacheckiego w warstwach inteligentnych nie znikła. Idejodolcy pozytywizmu usiłowali jeno przekształcić niesforą naturę szlachecką, naginając ją do twardej pracy organicznej. Udało się to im zaledwie w części. Zbyt świeże jeszcze były tradycje rycerskie, by wysadzone z siodła hufce mogły się tak prędko przystosować do roli obrotnych kupców i przejąć się hasłem „enrichissez vous“.

Wzmoczone życie przemysłowo-handlowe przyciągnęło przede wszystkim żywioł żydowski, z którym na tem polu spółzawodnictwo było nader utrudnione. On też zaważył mocno na psychice społeczeństwa, wysuwając za pośrednictwem swych przewodników duchowych, na pierwsze miejsce ideały ogólnoludzkie, humanitarne, o podłożu intelektualnym, zabarwione chłodnym racjonalizmem. Szlachta, która utrzymała się przy ziemi, potrafiła pogodzić w sobie sprzeczne pierwiastki dwóch okresów, nasiąkając zwolna duchem pozytywizmu i zachowując jednocześnie stare, przeżyte formy.

Jednostki idejowe, pochodzące ze środowiska inteligentnego, obciążone dziedzictwem tradycji wolnościowych, usiłowały w pozytywizmie znaleźć ujście dla swego temperamentu i szerszych aspiracji. Kierunek ten jednak będący antytezą romantyzmu, wykluczający wszelkie dążenia nie oparte na ścisłym obrachunku sił materialnych, zapoznający znaczenie pierwiastku uczuciowego w psychice społecznej — nie

przedstawiał oczywiście gruntu podatnego dla natur zapalnych, altruistycznych wybiegających myślą daleko poza obręb dnia dzisiejszego.

Znalazły one dla siebie miejsce w ruchach idejowych patryjotyczno-demokratycznym i międzynarodowo-klasowym. Do ostatnich niemal czasów dwa te kierunki idejowe dominowały w społeczeństwie polskim, tworząc niejako dwa łożyska, do których zlewało się wszystko, co szukało wyjścia z zaduchu i stęchlizny piwnicznej. Nieraz dwa te prądy krzyżowały się z sobą lub znów toczyły swe fale równoległe, tworząc odnogi je łączące. Po za nimi jednak było tylko spokojne bytowanie z troską lub beztrąską o jutro.

Ruch rewolucyjny w latach 1905 — 1906, ujawniając zakonspirowane dotychczas istnienie stronnictw, dając możliwość legalnej, w pewnym przynajmniej zakresie, działalności — odegrał rolę sita, przez które przesiały się elementy nieprzejednane, niezdolne do kompromisu, wierne idei. I to niezależnie od kierunku społeczno-politycznego, bowiem w każdym z nich tkwiły czynniki idejowe i oportunistyczne.

Ze szczełniejszą wyrazistością ujawnił się ów podział w warstwach, nie stojących na stanowisku wyłączności klasowej. Warstwy te najbardziej ulegały wpływom tradycji szlacheckich, oczywiście zmodernizowanych i przystosowanych do zmienionych warunków, lecz mających swój rodowód w odruchach idejowych takich jak wyprawa wiedeńska, legjony, insurekcje.

Nieśmiertelne tradycje te, czczone w formach obzędowych, lecz duchem swym obce społeczeństwu, wstępującemu na nową drogę wskazań „egoizmu narodowego“ znalazły grunt podatny tam, gdzie już mieszczaństwo polskie osiągnęło swój rozwój i gdzie na arenę wystąpiły nowe świeże siły w postaci ludu włościańskiego. A więc przedewszystkiem — w Galicji. Pewne symptomata zaś wskazują, że i w Poznańskim zaczyna kielkować nowe życie.

Królestwo Polskie natomiast przedstawia od niedawna teren, na którym dochodzi do panowania mieszczaństwo ze swą ideologią burżuazyjną, kultem siły materialnej i bezwzględnej walką o byt. Antysemityzm jest jednym z objawów tego przeobrażania się społeczeństwa polskiego nad Wisłą. Wrogi stosu-

nek do fermentu galicyjskiego jest również charakterystyczną oznaką wzmaganania się ducha mieszczańskiego, którym były przesiąknięte zabór austriacki i poznański.

Nie powinno więc dziwić zdumiewające z pozoru zjawisko jak zacieśniająca się coraz bardziej przyjaźń dotychczasowych zaciętych wrogów: postępców i endeków, „Prawdy“ i „Gazety Warszawskiej“, „Myśli Niepodległej“ i „Kurjera Warszawskiego“. Jest to konsolidacja neo-pozytywizmu, który zaszczerpiony przed kilkadziesiąt laty na pniu szlacheckim węgietował wciąż i dopiero teraz w odpowiedniej atmosferze puścił jędrne pędy.

Oczywiście wobec takiego nastroju hasła idejowe, neo-romantyczne, budzące w duszach ludzkich najszlachetniejsze instynkty, unoszące je *ad astra*, nie mogą znaleźć oddźwięku, są wydrwiwane, opluwane. Mieszczaństwo nie jest zdolne do przejęcia się ideałami wyzwoleniczymi, nie rozumie aspiracji wolnościowych i zna tylko płytkie zasady merkantylizmu. Dlatego też widzimy taki zanik idejowości w prasie i obozach politycznych warszawskich.

Żadne biadania ani pomstowania nie zmieniają tego stanu rzeczy, żadne siły nie powstrzymają procesu ekonomiczno-społecznego, któremu ulega obecnie Królestwo. Fala musi wezbrać i zalać. Dopiero gdy zaleje, gdy mieszczaństwo wzmoże się na siłach i obejmie placówki, o które dziś walczy — nastąpić musi reakcja i dusze ludzkie, znużone gwarem sklepikarskim, zapragną innej karmi, zatęsknią do innego świata. Bo pozytywizm, jako kierunek idejowy, jest jałowy i bezsilny w tworzeniu nieprzemijających wartości. W dziedzinie ducha żadnych twórczych pierwiastków nie posiada.

Proces ten naturalny o tyle może być przyspieszony, o ile szybciej przenikać będzie uświadomienie do mas ludowych, dotychczas jeszcze w większości nie biorących udziału w życiu politycznym. Lud polski wciąż jeszcze przedstawia surowy materiał, nie wydobyty z głębin na powierzchnię. A sądząc z Galicji, jest to materiał pierwszorzędnej wartości, który w umiejętnym ręku może przybierać posagowe kształty. W nim też pokładają nadzieje ci, którzy nie zwątpili o lepszej przyszłości narodu.

L. Abramowicz.

ZYGMUNT TYSKI.

2

## Piotr Buza.

Zmierzch jesienny — deszcz, zimny kapuśniaczek mży, — czarne, błotniste groble, porżnięte koleinami szklą się ponuro — z rowów obrosłych zrudziałą trawą tchnie wilgocią i odpychającym chłodem. Buza człapie boso, zakasawszy nogawice parcianych portek niemal po kolana. Gościńcem ciągną furmanki — pijani chłopci hałasują na wozach, jadąc do domów. Niekiedy minie go bryczka dworska na drogach w parę lub trójkę cugantów zaprzężona. Gruby „pan“ buja na sprężynowym siedzeniu, szczelnie owinięty w burkę sławucką z nastawionym kołnierzem. Buza zdejmuje czapkę, usiłując twarz posępną przybrać w męczeńską uprzejmość — ale jadący ani widzi i tylko błoto z pod kół pecynami obdaje biedaka. Buza z rezygnacją ociera twarz dłonią i za jednym zachodem siąka nosem na ziemię przy pomocy dwu brudnych palców. Uchodzi kilkanaście kroków aż tu... co to?! Jezusie... W ko-

leinie do połowy zatłamszony błotem leży lśniący, ciemno-wisniowy, groszkowany „pulares“. Chłop błyskawicznie, jakby był bez kości, schyla się w pałąk, chwytając znalazek, jak gdyby chwycił za gardło straszliwymi paluchami wroga śmiertelnego... Poczem wyprostowuje się, rzuca przezornie wokół ostrowidzącymi, niemal wyskakującymi, z orbit oczyma — czy kto nie podejźdza? — i drzącymi jak w febrze rękoma otwiera gruby, elegancki pugilares: obie bokówki i środek, wypakowane storubłówkami, wybrzuszają się pękato...

Albo znów taka historia sezamowa, inscenizowana już w innej porze roku, przy innych okolicznościach i zgoła odmienną dekoracją: Orze sobie chłop na długim wiosennym dniu w Piekuszkach, dalekiem uroczysku od dworu, wśród lasów. Orze sam, bo resztę parobków pogał rządca z furmankami na stację po nawozy „sztuczne“. Pogoda cudna; ciepły wietrzyk przeciąga od łęgów i miesza przenikliwą woń torfu i bagnisk leśnych z zapachem świeżo rozoranych, czarno rudawych skib. Cisza... Tylko czasem z wysokości spadnie żałośny pisk kani, lub w boru zakrzyczy płochliwa kraska. Aż, chwalić Boga, ciepło, bąków i ślepaków jeszcze niema, ani inszych kąśli-

## Większość i mniejszość.

Udzielając miejsca poniższym uwagom „Posła czynu“, musimy się zastrzec, że nie przesadzamy bynajmniej po czyjej stronie w T-wie Kultury Polskiej jest słuszność. Z oddalenia sądzić o tem nie możemy. Wywody „Posła czynu“, wyróżniające się spośród tyle innych głosów na ten sam temat, swym spokojem i rzeczową argumentacją, mają zresztą ogólniejsze znaczenie, gdyż poruszają zasadnicze zagadnienie: większości i mniejszości.

„Mniejszość była zawsze kwiatem ludzkości, była jej gienjuszem, mądrością, cnotą i chwałą, a jednocześnie była jej poniewieraną pasierbicą jeśli nie zupełną sierotą“.

Głębokie te i niezmiernie słuszne słowa wygłosił nie tak dawno Aleksander Świętochowski\*). Dzisiaj muszą się one stać platoniczną pociechą dla tych grup w Tow. Kultury Polskiej, które zostały przez większość ze Świętochowskim na czele, pokonane, choć nie przekonane.

Stanięto wobec zagadnienia: jaka jest droga najlepsza i najwłaściwsza prowadząca do rozwoju kultury narodu polskiego? Większość olbrzymia, bo licząca za sobą nie tylko tę nadwyżkę 30 głosów jaka stanowiła o niej na zebraniu delegatów T. K. P. d. 16 lutego, większość oparta o tysiące i dziesiątki tysięcy czytelników „Dwuch Groszy“ i szeregu innych dzienników warszawskich, które już dawno zajęły i umocowały swoje stanowisko wobec zagadnienia, większość oparta o niezliczony „zastęp miernoty, posiadających tylko tresurę i zdolność słuchania komendy“ (Świętochowski l. c.), „używająca nieograniczonej swobody mówienia bredni“, — (patrz dzienniki warszawskie z d. 17 lutego b. r.) — ta większość zwyciężyła w Tow. Kultury Polskiej.

Nie chciała ona słyszeć ni słuchać wywodów mniejszości, każda chęć argumentowania uważała za cyniczną obstrukcję, nie mogła zrozumieć, że może ludziom chodzić o przekonanie kogoś, o wy-

\*) A. Świętochowski. O prawach człowieka. Warszawa 1907. str. 82.

wych „muchów“ — i koniska nie kręca się w chomątach, nie fajtają ogonami, idą rażno w sosze bez mitręgi nijakiej. To też Buza już odwalił akordowy móg, choć jeszcze kula słoneczna buja sobie w najlepsze nad czarną gęstwą lasu, niby piłka ognista w nimbie blasków miedzianych, podobnych do przejrzystego kurzu. Oto na ostatnim już zagonie bierze ostatnią skibę.

— No, kasztan! no!.. stój łysy! stój łysy! — porzkuje w najlepszym humorze.

— Łysy hdzie!! Wolcz'ja wątroba, kab jaho wołk zajeul — wrzasnął nagle i w pasji, przysiadując za sochą na muskulistych łydach, jak wór żyta, ciął batem łysego, że nie idzie równo w wążkiej bruździe, lecz groteskuje. Podcięty koń skoczył raptownie w postronkach. Naraz—ta trach. Oba konie aż przysiadły na zadach, podwoje pękły jak pajęczyny.

— Psiakrew, kamień potajemnik! — mruczy Buza i związuje niefrasobliwie podwoje. Ale jednocześnie coś go ogromnie korci namacać ręką ten kamień, pociekawić jaki on też tam? Ot tak cosik „ciachnie“, jakby ramię niewidzialne, a okrutnie silne. Uprawczy się więc z sznurami klęka i reka gmera w roli w miejscu katastrofy. Nagle błysły mu oczy dziko,

jaśnienie, o dowód — im chodziło tylko o liczbę głosów i panowanie. Wiadomo było odrazu, wiadomo było dawniej już, że tę liczbę osiągną, wszak szli z prądem, szli z tą większością, która dziś nadaje ton opinii publicznej polskiej. Pięknie i mocno mówi Świętochowski w zacytowanej wyżej broszurze o tem, jak szkodliwą dla społeczeństwa jest taka większość.

A na terenie T. K. P. odbyło się wszystko *lege artis*, jakby po to, by dokumentować słuszność świętochowskiego twierdzeń. Odrazu, zawczasu już, poza Towarzystwem w urabiających wiadomą opinię organach prasy ustalono dogmaty, że wnioski centrali są polskie, a opozycji — przeciwnie polskości i z chwilą kiedy ten dogmat został przyjęty—dyskusja wszelka istotnie była tylko hamowaniem szybkiej i pewnej decyzji, była obstrukcją. Wszak jeśli tak jest, jeśli są ludzie, którzy zmierzają ku temu, aby odebrać polski charakter Towarzystwu Kultury Polskiej, to jasną jest rzeczą, że z nimi iść nie można.

Dziwnem by tylko być mogło, że się znalazło jednak bezmała sto osób na zebraniu delegatów, którzy tej antypolskości byli zwolennikami. Czyżby zaprawdę poszli oni na służbę „interesów separatyzmu żydowskiego“ sprzedali się za srebrniki lub dali powodować cudzemu wpływowi. Czy zaprawdę społeczeństwo polskie jest tak zgangrenowane, aby 40% jego stanowili „pachołkowie żydowscy“?

Myślę, że nie. I gdyby nie to zapamiętanie, nie ten owczy pęd z jakim gnano do „stwierdzenia polskiego charakteru instytucji“, — o czem nikt nie wątpił, — gdyby możliwa była spokojna rozważa, to może nie byłoby wcale walki, nie powstałaby wogóle ta większość.

Bo dlaczego większość jest czynnikiem ujemnym, a dodatnich trzeba szukać w mniejszości, czyżby rzecz słuszna przestawała nią być zyskując zwolenników? Oczywiście nie; tłumaczenia zjawiska szukać trzeba gdzieindziej.

Życie społeczne w normalnym toku dnia mało się interesuje stosunkiem mniejszości i większości. Idzie ono drogą pojedynczych wysiłków koordynowanych na mocy świadomego spółdziałania,

zwierzęco, strasznie. Hii... Toć nie żaden tam kamień, ino tęgie ucho garnczka obłego, kociołka w ziemi no i juści dukatów pełnego...

Takie i tym podobne fantazmaty wysnuwał nędzarz na zertwę rozartej chuci, władającej w jego sercu. Straszliwy głód ziemi na podścielisku cudownie nęcącej wizji świata stawał się w nim zaiste czemś potwornem, pożerającym życie u samego korzenia. Więc oszukiwał go iluzjami, aby żyć. Ale już w tym iluzorycznym świecie bardziej żył, niż w rzeczywistości, traktując ten ostatni lekceważąco, jako stan przejściowy, prowizoryczny z policzonemi rzekomo chwilami. Jak jest, tak — przeharuje się, oby tylko dopłynąć do portu! Tam dopiero rozpocznie się prawdziwe życie i smakowanie jego rozkoszne, czego przedsmak kuszący dawał obecny surogat bytowania mocą kontrastującej wyobraźni. Łudzony tą wizją zdobywał się nawet na pewien stoicyzm, odbijający dosadnie od usposobienia żony, wiecznie biedującej i narzekającej. Jeny z latami w miarę pogarszających się warunków życiowych chłop stawał się coraz bardziej zamyślony, roztargniony w robocie, „zaspaly“ — jak mawiał rządca. Często wcale jakby nie słyszał, co do niego mówiono i najopaczniej nieraz

albo na mocy częściowo tylko i niedokładnie znanych nam, a więc często niezależnych, praw społecznego ładu. Stosunek większości do mniejszości ujawnia się dopiero przy konfliktach, przy sporze, przy walce toczonej o cokolwiek bądź: o zasady, czy o władzę, o sławę, czy o korzyści.

A walce towarzyszyć musi przewaga czynności motorycznych w psychice ludzkiej nad poznawczymi, i w walce bierze udział zbiorowość. Zbiorowość, jak to wskazała już dawno psychologia i socjologia, także przytłumia swobodną pracę indywidualnej myśli popychając człowieka czem prędzej do czynów, których by sam świadomie może nie pragnął.

Więc kiedy zaczyna się walka o ideje, kiedy dwaj szermierze — a tak się w życiu społecznym dzieje zwykle — stawać muszą do turnieju przed tłumem i przed królową opinią publiczną — to większość zdobędzie nie ten, kto wygłosi rzecz głębszą, słuszniejszą, społecznie bardziej pożyteczną i prawdziwą, ale ten kto natrafi na prostszą, łatwiejszą drogę do przytępionej świadomości zbiorowej, znajdzie klucz albo wytrych, którym potrafi otworzyć drzwi czekającemu na skinienie tylko oklaskowi, — a wtedy już oklask zagłuszy najbardziej dobitne wołanie argumentu, a wtedy entuzjazm jak czerwona płachta będzie wisiał przed oczami tłumu, podniecał do coraz zawziętszego uporu i przeszkadzał widzieć największe nawet prawdy poza tą płachtą będące. Wtedy to tłum chwytą kamienie, a niema potęgi tak wielkiej, któraby mogła dorównać tłumowi.

Że jednak i w tłumie bywają ludzie, którzy dla jakichkolwiek istotnych, czy przypadkowych powodów mogą się nie poddać prądowi, powstaje mniejszość. Ta mniejszość rozumuje i rządzi, czasami stara się przekonywać, — ale słuchać jej nikt nie chce; na nią spadają kamienie większości.

Czemu jednak to, co wybrała większość, nie jest prawdą? Wszak prawdy zwykle są proste, więc łatwo trafić powinny do świadomości?

Prawdy są proste, ale droga do świadomości prowadzi przez boczne zaułki często; prawdy są proste i twarde, ale ludzka świadomość lubi mięką pieczętowaną wygodą; prawdy są proste i gorz-

kie, ale ludzka świadomość lubuje się w słodczych łatwych zadowoleniach; prawdy są proste i jasne, — ale ludzka świadomość woli często łagodną szarość obłudy, niż oslepiającą jasność prawd.

I dlatego prawdom tak często sądzono zostać za progiem świadomości. Czasami wolno im wejść do przedpokoju; czasami się je sadza w salonie na pokaz dla gości; pozwala się im nawet panoszyć dowolnie w bibliotece; z pewnością już zastrzeżeniami i mocno zakwiefione wchodzi do dziecinnego pokoju, — ale tam gdzie się naprawdę toczy życie, tam gdzie się zaczynają te podniety, które mają się stać czynem, tam rzadko dane jest wchodzić prawdom. Tak już zbudowany jest ten labirynt, w którym mieszka świadomość człowieka.

Nic więc niema dziwnego, że niezawsze to, co trafia łatwo do świadomości jest prawdą, że przeciwnie po to aby trafić do niej łatwiej, lepiej nie być prawdą. A jeśli chodzi o świadomość opancerzoną zbiorowości — spostrzeżenie to narzuca się tem jaskrawiej.

W „Kulturze Polskiej“ postawiono pytanie: jaką drogą najlepiej i najwłaściwiej zdążać należy do rozwoju kultury narodu polskiego.

Pytania tego nie rozstrzygnięto, nie chciano go rozstrzygać, uznano *a priori*, że jedna jest droga polska, a druga nie polska, że droga polska to ta, która prowadzi przez oddzielenie się i odseparowanie kateryczne od bezpośrednich stosunków z tą częścią ludności Polski, która rdzennie polską nie jest; — przez odpychanie tej ludności od współpracy, od udziału wżywaniu kultury polskiej; przez uznanie celowości ghetta i t. d. i t. d.

Nie polska droga to droga tych, którzy twierdzą, że naród polski w dążeniu do rozwoju własnej kultury nie powinien ograniczać promieniowania tej kultury na ludność etnograficznie nie polską, ale w krąg odwoływań polskich wplecioną przez życie, — nie polska to droga tych, co pragną ażeby przez kulturalną pracę mógł naród polski osiągać te zdobycze, jakich nie może osiągnąć dla braku innych sprzyjających warunków... i t. d.

Nie wiem, ale zdaje mi się, że gdyby spokojnie można było rozważać kierunek obu tych

wykonywał zlecenie zwierzchników. Ale że był „robotnik“, rataj i kosiec zawołany — trzymano go na służbie, wyrozumiale patrząc przez palce na powyższe wady, wynikające, jak mniemano, z braku roztropności, i pamięci w zakutym czerepie.

Nikomu nie przychodziło do głowy, że ten obskurny najmita może mieć w duszy jakieś tęsknoty i pożądanja poza naładowaniem codzien kąduna paru garncami ziemniaków i wypoczynkiem na barłogu trudzonych w ciągu 16 godzin gnatów. On sam zaś nie wywnętrzał się przed nikim; milczał jak grób, zamykając w swem sercu słodkie nadzieje, które wciąż rzeczywistość okropna stopą bezlitosną różdeptowała najbrutalniej. Jeżeli te nadzieje można z całą słusnością nazwać warjackimi, to cierpliwość chłopska była tu iście bezgraniczna. Jątrzony przeciwnościami — nie zrażał się. Nad wszystkim brała górę ślepa, bezmyślna, żelazna zawziętość i podsyciała upór kamienny. Wciąż czekał. Cekał coraz bardziej. I ostatecznie cały sens życia mieścił się dla niego w tem wyczekiwaniu napiętem, w tej wyśrubowanej do ostatnich granic egzaltacji ponurej, w tem szaleństwie zamkniętem w sobie i jakby — jodowatem. I gdyby ktoś miarodajny — jakiś anioł

z nieba — stanąwszy przed nieszczęsnym, zapewnił go apodyktycznie, że to nadzieje płonne, że nic z nich nie będzie — Buza zapewno padłby mu do nóg bez... życia.

A jednak, gdyby tak się stało, ów prorok-anioł okazałby się fałszywym prorokiem... Albowiem mimo wszystko w księdze przeznaczeń stał wypisany wyrok najlaskawszy. Czy Buza miał jakieś o tem tajemnicze przeczucia, za których głosem szedł tak uporczywie i niezmordowanie, czy odwrotnie: swym bohaterstwem uporem zaimponował losom i zmusił je do ustępstw, stając się niejako żywym stwierdzeniem maksmy Napoleona: „należy tylko chcieć!“ — — dość, że koniec końców dochrapał się do „hraszej“, i stał się właścicielem włoki gruntu.

Siostra Hańci Buzowej, o kilka lat od niej młodsza Józka, służyła we dworze za pokojówkę i tam zwąchała się z Bałukończykiem Adamkiem, co to furmanował państwu w „ryberji“ z błyszczącymi guzami i czapce z galonem.

D. N.

dróg, to nie przesadzając, która z nich zyskałaby przewagę celowości, przyznać trzeba, że spór, co do ich polskości nie rozstrzyga się tak łatwo.

Łatwo się o rozstrzyga dla stada, dla tradycyjnej większości tak dobitnie scharakteryzowanej przez Świętochowskiego, idącej ślepo i bezmyślnie za tym, kto w odpowiedniej chwili podsunął hasło mogące się stać popularnym.

A potem już wszystko jedno, już żadne argumenty nie pomogą.

Mniejszość w „Kulturze Polskiej“ w d. 16 lutego odniosła wielkie moralne zwycięstwo. Rozumiała ona na poprzednim zebraniu 26 stycznia, kiedy przypadkowo uzyskała o 4 głosy więcej, że jest to niezgodne z istotnym stosunkiem w Towarzystwie, nie chciała snuć konsenkwencji z tej swojej przewagi, choć mogła z niej formalnie korzystać, odłożyła zebranie, pozwoiliła zmobilizować zwykle senne i obojętne zastępy większości, których przy pracy kulturalnej niema, a pojawiają się one tylko kiedy trzeba robić głosujący za hasłem tłum. (Na zebraniu 26 stycznia opozycja miała głosów 82—przeciwko 78, na zebraniu 16 lutego—82 przeciwko 112).

Bo mniejszości nie chodziło o władzę, ani o przeprowadzenie par force swoich wniosków, chodziło i chodzi o zaszczerpienie w świadomości społeczeństwa polskiego tych prawd, na które ono dziś jest ślepe, których słyszeć nie chce. Chodziło i chodzi o to, aby kultura narodu polskiego rozwijała się istotnie i wszechstronnie, wchłaniając nowe pierwiastki i stwarzając nowe wartości. I dla tego mniejszość cała i poszczególni jej członkowie poczuli na sobie nie jeden kamień rzucony z tłumy, dla tego zostali piętnowani i szczeni, obwołani na wrogów narodu.

Bo jak to słusznie i mądrze powiedział Aleksander Świętochowski: „Mniejszość była zawsze kwiatem ludzkości, była jej gienjuszem, mądrością, cnotą i chwałą, a jednocześnie była jej poniewieraną pasierbicą, jeśli nie zupełną sierotą“.

#### Posel czynu.

▷○○○○○○○○◁

## Dzieło „Ibów szalonych“.

### I.

Nakładem ruchliwej księgarni Zdzisława Rzepeckiego i S-ki w Poznaniu ukazało się drugie wydanie (na nowo opracowane i uzupełnione) „Dziejów oręza polskiego w epoce napoleońskiej“, pióra dra Marjana Kukiela \*). W przedmowie autor wyznaje, iż nie spodziewał się, by „skromna“ jego praca tak rychło doczekać się miała powtórnego nakładu. Powodzenie to przypisuje „jedynie wielkości przedmiotu i jego wartości życiowej, trwającej po dzień dzisiejszy“.

Jakkolwiek dr. Kukiel niezupełnie słusznie pomija tu czynniki inne: literackie zalety dzieła, naukowe, a jasne traktowanie przedmiotu, wreszcie, liczne, ciekawe ilustracje — wszelako zgodzić

się z nim wypada, że książka przede wszystkim pociąga żywotnym swym tematem. Legjony, legjonisci, Somosierra, Dąbrowski, ks. Józef, Sułkowski — wszystko to barwi się jeszcze i gra w pamięci ludzkiej. Wszystko to, pijetyzmem powszechnym otoczone, naród coraz gęściej nimbem osłania i ze szczegółów relikwje czyni.

W ogólnem tem wielbieniu polskich bohaterów epoki napoleońskiej biorą udział wszyscy, bez względu na to, jakie sami obecnie reprezentują przekonania. Onych „polskich jakobinów“, „warjatów“, „szalone głowy“ (jak mianowała legjonistów owoczesna *trzeźwa i wytrawna* opinja publiczna) nietylko apoteozują „trzeźwi“ i „wytrawni“ naszej doby, ale swym gorliwym dla nich respektem starają się dowodzić, jakoby oni właśnie byli prawymi spadkobiercami idei, ożywiających rycerzy z San Domingo, Hawy, Raszyna, Saragossy.

Tak zawsze bywa.

Każda epoka ma swoje „trzeźwe“ i swoje „szalone“ głowy. Trzeźwemi mianują się zwykle żywioły tchórzem podszyte, umiejące w gnuśnej bierności do najgorszych nawet przystosować się warunków i za wszelką cenę łaknące spokoju. One to każdy element czynu usiłują dyskredytować, wyrabiając mu opinię szaleństwa. Potem dopiero, w jakieś lat pięćdziesiąt, sto i więcej, gdy po „warjatach“ owych jeno pamięć czynów nieśmiertelnych zostaje, ceniąca tradycje gnuśność naroda, czyni z nich narodowe świętości.

Nie pozwalajmy jednak z pięknych tych postaci czynić fetyszów i teatralne kukły. W owych bohaterach prawdziwie polskich szukajmy rysów żywych ludzi i rozglądajmy się, gdzie ich właściwi są dzisiaj następcy.

Więc taki oto Józef Sułkowski, cieszący się dotąd opinią rycerza bez skazy—ktoż to był?

„Domyślać się można—odpowiada historyk— że chciwem chwycił uchem odgłosy burzy rewolucyjnej, która szalała nad Francją; to pewne, że na prace sejmu wielkiego patrzył z lekceważeniem młodego entuzjasty, zapatrzonego we wspanialszy wzór obcy. W dziełku „Ostatni głos obywatela polskiego“ uderzał namiętnie Sułkowski na Ustawę majową i jej twórców, z powodu monarchicznego charakteru konstytucji. Zarzucał mianowicie połowiczność reformy „w stosunku do mieszczan i włościan, przekonany, że ludzie rodzą się z temi samymi potrzebami, a więc i z prawami różnemi“.

„Polska jest wszędzie — wołał Sułkowski — gdzie bronią wolności“.

Gdy Dąbrowski, pospołu z włoskiem stronnictwem republikańsko-patryjotycznym, żądał zjednoczenia państwa kościelnego z Cisalpiną i gromił wojsko papieskie, bawiący w Paryżu spółtwórca legjonów, Franciszek Barss, pisał do Wybińskiego: „Dąbrowskiego ściskamy serdecznie. Niech przypomni Ojcu Świętemu jego błogosławieństwa, konfederacji targowickiej udzielone“.

Głosy takie, głosy tchnące wolnomyślnością, a nawet radykalizmem społecznym, w odezwach legjonistów co moment się spotyka. I nie dziw. „Wszyscy niemal oficerowie polscy — jak stwierdza historyk — należeli do łóz wolnomularskich, przejmując się w nich duchem humanitaryzmu, oświecenia i tolerancji“; byli też zdeklarowanymi demokratami i republikanami. Szli z Francją, bo widzieli w niej bojownicę tych właśnie zasad. Szli do Francji, bo w kraju „na powierz-

\*) „Dzieje oręza polskiego w epoce napoleońskiej, 1795—1815“. Napisał Marjan Kukiel. Wydanie drugie na nowo opracowane i uzupełnione. Str. 475. Poznań, 1912, nakł. Zdzisława Rzepeckiego i S-ki.

chnię życia publicznego wyplęły jednostki, najbardziej do służalstwa i zaprzaństwa zdolne; służalstwem dyszały gazety, ocalone z pogromu nieliczne druki, tłoczono w krajowych drukarniach“.

Przeróżna pisząca kanalia, w myśl drżących o swe dobra magnatów, tworzyła ody na cześć nasłanych wielkorządców i ich władców; odzęgnywała się w imieniu narodu całego od „knowań“ „warjatów“ i „tów szalonych“, wskazuje urzędnikom pruskim „niebezpieczeństwo galicyjskie“, ile że z tej to właśnie dzielnicy najpierw poczęły dolać głosy o konieczności podźwignięcia sprawy.

W tych warunkach żądni czynu „szaleńcy“ nie mieli nic w kraju do roboty. Pozostawało więc tylko działać — dla kraju. A za działalność taką poczytywali urzeczywistnianie zasad wolności, gdziekolwiek o nie toczyła się walka.

Pod tym, ani innym prowadzona była sztandarem wojna włoska. „Polacy!—pisał Dąbrowski—nadzieja powstaje. Francja zwycięża. Ona się bije za sprawę narodów“. I rzeczywiście: Bonaparte „niósł Włochom, za cenę unicestwienia oligarchicznej i tyrańskiej republiki weneckiej, zawiązek ich państwa narodowego“. Kiedy zaś następnie armja francuska wkroczyła do Rzymu, wojsko doskonale zdawało sobie sprawę, że „walczy ze świeckiem panowaniem papieży, bo panowanie to jest grobem narodu włoskiego i wolności włoskiej“. W Neapolu „wszystko, co było oświecone, zamożne, szlachta, mieszczaństwo, ludzie nauki i pióra, wszystko z zapartym tchem oczekiwało wejścia francuzów, dyszało zapałem republikańskim i uwielbieniem dla tego nowego rycerza bez zmayı i trwogi, który kruszy odwieczne kajdany i obala tyranję“.

W wojnie takiej legjony, złożone ze zdeklarowanych „republikantów“, udział brać mogły z zupełnie czystym sumieniem i nie sprzeniewierzając się idei, którą żołnierze nosili wypisaną na piersiach: „ludzie wolni są braćmi“.

Zawahali się owi „republikańcy“ polscy jeno wówczas, gdy pierwszy konsul sięgnął po cesarską koronę. Niektórzy opuścili go. Inni godzili się służyć nowemu monarsze, w przekonaniu, iż świeży jego tytuł wywołać musi dalszą, a upragnioną wojnę.

Jeszcze raz odezwą się te skrupuły w szereg lat później, już po okupieniu krwią legjonów Księstwa Warszawskiego — mianowicie w Hiszpanji. Mimo to, większość trwała przy Napoleonie, czując instynktownie, że bohater ten bez korony, czy w koronie świata, na bagnietach swych żołnierzy, jakąś dobrą nowinę niesie. Dziś wiemy, że nie myliło ich przeczcucie.

Jakkolwiek w modzie jest obecnie uprawiać płytki krytycyzm w stosunku do Napoleona i widzieć w nim tylko ambitnego, krwią ludzką szafującego karjerowicza — kto jednak w dziejach ludzkości widzi coś więcej, niż ich pierwszoplanowych aktorów, dostrzeże w epopei małego kaprała dalszy ciąg Wielkiej Rewolucji, mającej przekształcić i odrodzić całą Europę. Gdyby Francja nie była wówczas wyszła ze swych granic na pogrom starego świata, musiałaby sama, wraz ze swem dziełem, ulec pogromowi. Nie ona rozpoczęła walkę. Zarzewie rzuciły dwory sąsiedzkie, widzące w republice niebezpieczną formę rządu i pragnące ją unicestwić.

Wszystkie monarchje ruszyły przeciw Francji, nie czując, że rozpętają siły olbrzymie, a doład nieznanne, nieprzewidując nadto, że czynem tym obruszyć mogą własne fundamenty.

Z. Polkowski.

□□□□□□□□□□

## Po latach pięćdziesięciu.

Jedną z najpiękniejszych, ale i najtragiczniejszych zarazem kart w historii powstania 63-go roku stanowi udział w niem młodzieży polskiej na Ukrainie.

Ożywieni duchem demokratycznym powstańcy znaleźli się w tej kresowej dzielnicy b. Rzeczypospolitej w położeniu nad wyraz trudnym.

Z wychowania, tradycji, kultury szczerzy polacy, widzieli jednak jasno, że idea demokratyczna—owa najwyższa zasada ich myśli i czynu—nakazuje poświęcić się przedewszystkiem dla dobra ludu ukraińskiego, wśród którego żyli i dla którego tak gorąco pragnęli pracować. Lud ów natomiast, ciemny wówczas i nieświadomiony, nie mógł zrozumieć tych porywów, z gorącej żądzy ekspiacji i umiłowania idei zrodzonych. Polska była dlań synonimem ucisku, a szlachta polska — wrogiem odwiecznym, któremu nigdy w niczem ufać nie można. Ta sprzeczność fatalna stała się źródłem potwornej zbrodni ślepego żywiołu masy ludowej i nadludzkiej ofiary dusz świadomych, które męką i krwią własną grzechy ojców odkupić chciały.

Najtragiczniejszym epizodem tych smutnych dziejów jest rzeź młodzieży polskiej we wsi Sołowjówce. (d. 10 maja 1863 r.)

T. Siemiradzki (p. Porozbiorowe dzieje Polski. Chicago 1903. T. II. str. 289) tak o tem pisze: „Rząd narodowy wydał dla Rusi osobny manifest, zawierający treść dekrétów 22 stycznia i 10 maja. Dokument ten, spisany w języku ruskim, jest znany pod nazwą „Zołotoj Hramoty“. Zołotaja Hramota nadawała ludowi wiejskiemu na Rusi wolność, ziemię i prawa obywatelskie na równi z innymi stanami, poręczała swobodę wyznania, panowania języka ruskiego w szkołach i urzędach, a popom prawosławnym wyznaczała pensje ze skarbu państwa z obowiązkiem niepobierania od ludu zapłaty za posługi duchowne.

W celu głoszenia ludowi Zołotoj Hramoty wyruszył z Kijowa oddział, złożony z samej młodzieży uniwersytetckiej w sile 21 ludzi na dwóch wozach z trzema jeźdcami. Minawszy szczęśliwie rogatki i straże kozackie, powstańcy przybyli do wsi Motowidłówki; lud wysłuchał ich spokojnie i przyjął Hramotę. W dalszej drodze spotkała polaków konna gromada włościan ze wsi Helenówki; tu nastąpiło całkowite porozumienie się i zbratanie ludu z powstańcami. Również pomyślnie przeszło odczytanie Hramoty we wsi Fastówce i miasteczku Fastowie. Dopiero, gdy powstańcy po dłuższej i bardzo uciążliwej podróży przybyli do wsi Sołowjówki, znaleźli lud, przygotowany..... do napaści.

... Nie było innego ratunku, jak przebić się siłą. Lecz młodzież polska, dla dobra sprawy, postanowiła raczej zginąć, niż przelać choć jedną

kroplę krwi chłopskiej... Wniosek jednego, aby się przebić zbrojną dłońią i iść dalej, został odrzucony. Powstańców rozbrojono i zamknięto w obszernej izbie. Wtem na ulicy, gdzie stały wozy polskie, rozległ się strzał. Po dziś dzień niewiadomo, kto strzelił.

Rosjanie utrzymują, że jeden z polaków strzelił do ludzi, większość jednak źródeł zgadza się ze sobą, że strzelił jeden z włościan, namówiony zawczasu... Na odgłos strzału polacy wybiegli na ulicę; wtedy chłopci rzucili się na nich z toporami i kołami. Zginęli z ręki ludu Biesiadowski, Izbiński, Peretiatkowicz, Krypski, Kostko, Bobowski, Przedpelski, Wasilewski, Wołoncewicz, bracia Przedmirscy. Reszta dostała się do niewoli...

Wypadek ten wstrząsnął do głębi umysły społeczeństwa polskiego na Ukrainie. W jednych rozpałił większą jeszcze nienawiść do „dziczy hajdamackiej“, innych umocnił w przekonaniu o „łączności ich i jedności“ z ludem ukraińskim, którą młodź polska pod Sołowjówką „krwią swoją bohaterską, w imię dobra ludu tego przelaną... stwierdziła i przypieczętowała“\*).

O uczuciach, ożywiających młodzież powstańcą na Ukrainie, mamy świadectwo wymowne w fakcie mało znanym, przekazanym potomności przez niezbyt dla nas przychylnego, wybitnego uczonego i publicystę, ukraińca Dragomanowa.

„Koło pewnej wsi, w gub. kijowskiej, — opowiada D. — chłopci bili powstańców. Oficer rosyjski, widząc, że leżący na ziemi polacy już dogorywają, krzyknął do znęcających się nad nimi chłopów: „Dlaczego ich bijecie? Przecież i tak już, leżą bez czucia!“ Wówczas jeden z ociekających krwią polaków uniósł nieco głowę i rzekł: „Zostaw, pan. Niech biją! Myśmy tak wiele przeciwko nim zawiniłi! Bardzo wiele!“...

Pół wieku upłynęło od tej chwili.

Wiele się rzeczy zmieniło na świecie.

Z łona ludu, który niegdyś z okrutną fatalnością ślepego żywiołu mordował tych, co go nad życie umiłowali, wyszedł spory już zastęp inteligencji, dążącej do odrodzenia swojego narodu.

Zdawałoby się, że ci świadomi siebie i dziejów swych ukraińcy — potomkowie nieszczęsnych sprawców rzezi sołowjowieckiej — potrafią i zechcą uczcić pamięć tych, którzy z uśmiechem przebaczenia na ustach ginęli z rąk ludu, za który walezyli.

Nienawiść jednak głębsze snąć korzenie zapuszcza w serca ludzkie, niż miłość.

Bo oto co w 50-tą rocznicę powstania czytamy dziś w kijowskim organie narodowców ukraińskich (p. „Rada“ № 15): „Lud ukraiński nie uwierzył obietnicom powstańców. Doświadczenie własne wskazywało mu, że w ciężkiej potrzebie prowodyrowie polscy mogą pisać i obiecywać, co się podoba, ale potem równie łatwo z amią swoje słowo. Historia stosunków polsko ukraińskich daje nam mnóstwo takich przykładów, a obecne położenie ukraińców w Galicji pod uciskiem polaków dowodzi najlepiej, czego można było spodziewać się od nacjonalistów polskich (sic!), gdyby wzięli oni górę i na Ukrainie. To też urzędnicy rosyjscy, którzy ostrzegali lud ukraiński przed powstaniem, mieli słuszną, mówiąc do włościan naszych: — Gdyby polacy naprawdę chcieli coś dobrego dla was uczynić, to mieli przecież dość czasu na to. Nikt im wtedy nie przeszkadzał. I włościanie nasi

wierzyli urzędnikom, lecz nie polskim agentom, którzy czytali zanadto już ponętne obiecanki „Zołotoj Hramoty“ pod rozwierającym się sztandarem polskiego powstania.

A we wsi Sołowjówce, dokąd przybyła niewielka garstka powstańców, włościanie zaaresztowali ich i ciężko pomordowali — z epickim spokojem kończy swe wywody autor artykułu w „Radzie“.

Prosto i szczerze.

Jeszcze raz, — po latach 50-ciu — jeszcze raz kamieniem w mogiły męczenników...

J. K.

▷○○○○○○○○◁

## Arystydes Briand.

(Ciąg dalszy).

Dla syndykalistów ma Briand tem mocniejsze słowo. „Strajk powszechny — mówiłem, mówię, wierzę — to będzie rewolucja, rewolucja zwycięska. Łatwo ją zacząć, ile że jest prowadzona środkami legalnymi, porwałaby wszystkich robotników; mobilizacja wszystkich robotników na całym terytorjum kraju, — zniósłaby jednocześnie armję... Idźcie tedy do walki z kartką wyborczą, jeżeli uważacie to za środek dobry, ja nic nie mam przeciwko temu. Idźcie z pikami, z pałaszem, z pistoletami, ze strzelbami; nie tylko nie będę was potępiał, ale w danym wypadku stanę w waszym szeregu... Można głosić strajk żołnierzy, można go nawet przygotowywać... A wtedy, gdyby w dalszym ciągu miał trwać rozkaz strzelania, gdyby oficer mimo wszystko chciał przymusić żołnierza do strzelania do strajkujących, niewątpliwie strzelby mogłyby strzelać — ale być może nie skierowałyby się w stronę strajkujących“...\*)

To było w roku 1899. Trzy lata później Briand jest w Izbie w stronnictwie socjalistycznym, podówczas związanem z blokiem radykalnym. Wraz z socjalistami zwalcza nacjonalizm francuski, prowadzi politykę radykalną. Jak się broni później, wtedy, w tych latach, obcując z Jaures'em pozbył się wyłączości, bezwzględności, głośnych słów młodości. Stawał się politykiem t. j. człowiekiem kompromisu. Nie jest też więcej i tylko przedstawicielem syndykalistów. Uważa, że powołany do Izby posiada mandat do obrony interesu powszechnego.

W polu widzenia tego interesu znajduje się podówczas sprawa separacji kościoła i państwa. Briand staje w pierwszym szeregu walczących. Jednakowo oddalony od obrońców kościoła jak i od sekciarzy jakobińskich z pod znaku Combes'a, zwolennik kompromisu wysuwa się na czoło Izby. Jest przekonany, że zasada separacji wyjść może na dobre zarówno państwu jak kościołowi. Nie chce kościoła poniżać, nie chce wpływu jego nieweczyć. Chce zapewnić mu zupełną swobodę wpływu, niezależnego od władzy świeckiej. „Wolność kościoła powinna być ograniczona o tyle tylko, o ile tego wymaga potrzeba porządku publicznego“. Sprzeciwia się żądaniom mającym na celu zabór kościoła. „Z żalem i nie bez poniżenia widziałbym kościoły w posiadaniu wolnomyślicieli,

\*) Wacław Lipiński. Szlachta na Ukrainie. Kraków. 1909 str. 68.

\*) Są to wyrazy, których nie przestają wymawiać Briandowi od czasu jak został ministrem. W *Lanterne* jest więcej takich cytata.

k którzy pragną w nich odbywać swoje zgromadzenia. Nie chcę być tutaj sentymentalnym, ale niechaj mi wolno będzie powiedzieć, że gmachy te, jeżeli mogą służyć za mieszkanie dla ciemnych tajemnic dogmatów i dla tęsknot trwożliwej wiary, nie są zbudowane jako przytulki dla nadziei i dla słonecznych prawd rozumu. Wolna myśl jest silna i wielka, albowiem ma za sobą prawdę, powinna znaleźć w sobie dostateczną siłę gwoli dźwignięcia swoich świątyń na przeciwno świątyni dogmatów“.

Walka w Izbie trwała trzy miesiące. Skończyła się kompromisem, który zyskał uznanie wielu nawet katolików, samego nawet kleru. Tylko bezwzględność Piusa X stała na przeszkodzie ugodzie zawieranej z wolnej woli. Zaczynała się walka z kościołem, walka kościoła ze świecką republiką na śmierć i życie.

Sporządzanie inwentarzy kościołów dało powód do krwawych nieraz awantur. Interwencja władzy wojskowej stawała się nieraz konieczną. Atmosfera stawała się ciężką. Cóż dziwnego, że kompromisowy pan Briand wydawał się mężem opatrnościowym. Powołano go do ministerjum jako sekretarza stanu w ministerjum oświaty i wyznań (marzec 1906). W ciągu dwu lat trwała walka pomiędzy Briandem, reprezentującym interesy republiki świeckiej a dyplomacją Watykanu—walka, wprowadzająca ustawę o oddzieleniu kościoła. Minister był kompromisowy, starał się nie ranić, działać ostrożnie tranzakcyjnie. „Czyniłem, co mogłem, mówił później, aby separacja nie była nieszczęściem dla katolików tego kraju“. Przedłużał termin, na ukonstytuowanie stowarzyszeń wyznaniowych przeznaczony, umożliwiał najmowanie kościołów u rad miejskich.\*) „Nie podaję w wątpliwość wielkości kościoła. Jego działalność wiązała się z rozwojem i wielkością kraju; powiem otwarcie, że urodzony katolik, choć nie praktykujący, widzę nie bez smutku rozkład, (*l'effritement*) dokonywający się na oczach naszych“ (1 kwietnia 1908 r.\*\*).

Kto przyglądał się zblizka działalności Brianda na polu stosowania ustawy o oddzieleniu kościoła i państwa, ten widział doskonale, kogo ma przed sobą, ten nie mógł mieć wątpliwości, że w najbliższym czasie ujrzy go na najodpowiedzialniejszym stanowisku politycznym, jako prezesa rady ministrów. Wszystkie żywioły umiarkowane Izby, na lewicy i w środku — były pod jego stronnie. Rozumiały, że to jest mąż opatrnościowy, który potrafi ukrócić burzę społeczną, rozszalałą w tych latach w organizacjach robotniczych Francji. Pan Briand uchodził w niektórych kołach za anarchistę, pamiętano mu jego referat o strajku powszechnym. Ale słusznie uważał Jaurés w słynnej, morderczej polemice z maja 1907 r. na Trybunie Izby Deputowanych prowadzonej, że „najczęściej nie ludzie się zmieniają, ale raczej pojęcia, jakie o ludziach posiadamy“. Jaurés tedy przyznawał, że Briand-minister był tylko dalszym ciągiem Brianda-towarzysza. „Dawniej — mówi Jaurés — pan Briand, spotykając na drodze życia anarchistów, znajdował w nich upodobanie. Uderzyła go ich indywidualność awanturnicza, ale także i to, że te dusze dzikie i dziecinne mogły być z łatwością kierowane; umiejętnie tedy je

prowadząc, skłaniał do porzucenia bomby o krótkim luncie na rzecz strajku powszechnego, również wybuchowego, jednak na daleką odkładanego metę: to były pierwsze doświadczenia przyszłego męża stanu...

„Ale należy przyznać, że p. Briand, propagując strajk powszechny, nie wyrzekał się żadnych innych metod walki, metod spokojnej ewolucji i parlamentarnej działalności. Ale stąd nie wynika—co teraz p. Briand chciałby w nas wmówić, że on strajk powszechny uważał za metodę walki spokojną, legalną. Przeciwnie, mówił: „Emancypujcie się na drodze rewolucyjnej. Tylko, że są dwa sposoby rewolucji. Jeden—stary, romantyczny, walka na barykadach. Ja go wam nie bronię, jestem zwolennik rewolucji eklektycznej. Nie odrzucam żadnego sposobu walki. Jeżeli chcecie wyjść na ulicę z bronią w rękę, jak to czynili rewolucjoniści 1830, 48 i 71 roku,—pójdę z wami. Jednak radzę wam, jako przyjaciel, inną formę walki: bardziej skuteczną, bardziej sprawną, bardziej nowoczesną metodę—strajku powszechnego. Bardziej skuteczną dlatego, że strajk odbywa się jednocześnie na całym terytorjum Francji i że nie jest, przynajmniej w pierwszej chwili, tak strasznie niebezpieczny dla uczestników, jak rewolucja zbrojna“. Mówił dalej, że idea strajku powszechnego mieści w sobie *implicite* strajk armji. „Żołnierz spropagowany dla idei strajku powszechnego, będzie wiedział, że ma przed sobą robotników, towarzyszków... Żołnierz zawaha się, a kiedy oficer trwać będzie przy rozkazie strzelania do robotników wtedy karabiny odezwą się, ale lufy ich skierowane zostaną nie w kierunku rozkazu“...)

Na zarzuty Jaurésa odpowiedział Briand, wielką mową, która wypełniła całe posiedzenie 13 maja\*\*). Czarował wszystkich. Nigdy nie był demagogiem, nie podnosił, nie podniecał, nie zapalał masy robotniczej. Nigdy nie propaował anarchji. Przeciwnie. Pan Jaurés wie przedewszystkiem, że nawet na tem polu był zawsze zwalczanym przez anarchistów. Nigdy go nic z nimi nie wiązało. Starał się zawsze oddziaływać na rozum, na spokój klasy robotniczej, kierować ją ku metodom spokojnym, ku spółdziałaniu z innymi stronnictwami demokracji, aby ją zorganizować w kierunku poprawy jej losu i w granicach możliwości w kierunku jej emancypacji. W jakich warunkach odczyt jego o strajku powszechnym został wygłoszony? Stronnictwo socjalistyczne przechodziło kryzys najniebezpieczniejszy. Millerand wszedł do ministerjum Waldeck-Rousseau. W partji z tego powodu wrzało. Padały surowe słowa, wyroki, przekleństwa; stawiano pręgierze. I pan, panie Jaurés, rozumiał, że partja socjalistyczna musi wejść na drogę ewolucji legalnej i reformy. Na kongresie, na którym wypowiedziałem odczyt mój, walczyłem u pańskiego boku. Przeciwno nam po drugiej stronie walczyli dzisiejsi przyjaciele pańscy, p. p. Guesde i Vaillant. Wtedy nie na wiecu, ale na zgromadzeniu przedstawicieli partji — wygłosiłem ową mowę, aby pomóc panu, aby rzucić kamień niezgody pomiędzy przeciwników pańskich, aby rozdzielić, rozbić szeregi p. p. Guesde'a i Vaillant'a aby pan mógł zdobyć większość na kongresie i zorganizować partję własną, partję reform. Tej właśnie polityce reform służyliśmy obaj w latach następnych. W tych warunkach nie

\*) Drugie ministerjum Brianda doprowadzone zostało do upadku (początek 1911 r.) pod zarzutem niewłaściwego stosowania ustawy o separacji na korzyść kościoła katolickiego.

\*\*) Wszystkie mowy Briand'a w przedmiocie separacji zebrane w dwu tomach. „*La Separation. Discussion de la loi. Application du régime nouveau.*“ (1909).

\*) Stenogram rozpraw w Izbie w *Journal Officiel* 1907, posiedzenie z dnia 11 maja 1907 r. str. 969 nast.

\*\*) Tamże str. 971—981.



powinien pan być wykorzystać mocy swojej przeciwko mnie... W każdym bądź razie ten kongres zaznaczył się wyraźnie w moim rozwoju osobistym. Ten kierunek trwał dalej i dzięki temu, u pańskiego boku, na skutek rad pańskich, niemal pod rozkazami pana stałem się tym, kim jestem dzisiaj. W Izbie, do której zostałem wybrany, jaką prowadziliśmy politykę? Politykę kooperacji z partjami burżuaznymi. A za ministerjum Waldeck-Rousseau? Gdybym chciał stosować metody polemiczne pańskie, nie potrzebowałbym bardzo szukać, aby znaleźć artykuły, mowy, który znajdują się w sprzeczności bezwzględnej z całą pańską polityką dzisiejszą. Wtedy, z jakim talentem pouczalesz pan robotników, że ich przedstawiciele powinni uczestniczyć w rządzie i kooperować z innymi czynnikami stronnictwa republikańskiego. Sam Pan byłeś wiceprezydentem Izby i z jaką łatwością przystosowałeś się do obowiązków stanowiska. Wtedy, pan byłeś zdrajcą, renegatem, truciścielem klasy robotniczej — wtedy nawoływałeś robotników, aby rozumieli co znaczy odpowiedzialność związana z władzą i z funkcją publiczną. Ja tylko zostałem tam, gdzie pan byłeś — i dziś żądam tylko od Izby, aby sądziła mnie wedle moich czynów“...

(D. n.)

Stanisław Posner.

◁○○○○○○○○○▷

## Secesja monachijska.

*Monachjum, w lutym.*

(Zimowa wystawa trzech: *Leon Samberger, Ignacio Zuloaga, Józef Flossmann*).

Każdorazowa wystawa monachijskiej secesji, zapoznaje z twórcami „nowej sztuki“. Budzi nie proste zaciekawienie, ale odzwierciadla ducha swego czasu, dlatego jej wystawy, są zarówno, jak nowe dzieła w literaturze, wielkie dramaty na scenie — wyrazem twórczości tych talentów, którym zawdzięczamy nasz postęp w kulturalnym życiu.

Obchodzą zatem nie tylko specjalne koła artystów, ale przez obrazy wielkich malarzy różnych narodowości, przez największych (możliwie!) doszukanych wśród swoich, czynią z sztuki — jaką być powinna — wspólną własność kultury każdego człowieka, który w niej znajdzie swoją część.

Ostatnia „zimowa wystawa“ monachijskiej secesji, zapoznaje z trzema: *Ignaciem Zuloaga, Leonem Sambergerem, z Józefem Flossmannem*; dwaj pierwsi, malarze, reprezentują dwa światy: kolorystyki i bujnej fantazji u malarza z Segowji (część roku przepędza również w Paryżu!), indywidualnie pojętej formy w portrecie u monachijskiego, L. Sambergera. Rzeźba Flossmanna charakteryzuje artystę środowiska, w jakim żyje, a dla którego, dla celów więcej dekoracyjnych, aniżeli w znaczeniu „l'arte pour l'arte“ tworzy.

*Ignacio Zuloaga*, zdobył sobie znane dzisiaj nazwisko, głosząc nieprzerwanie sławę wielkiego malarstwa hiszpańskiego. Każdy z jego obrazów, (wystawa obejmuje ich 25) odsłania „cudowne“ bogactwo kolorów, obok gorącej, południowej fantazji człowieka rozkochanego w tej atmosferze barw przyrody, wydobywających przez oko arty-

sty odrębny świat, by go potem namalować w koncepcji — wizji.

Hiszpanie są malarzami „par excellence“ realistami! Ale jakże przedziwnie ten realizm wygląda: odkrywa on w tej realnej wartości malowanego przedmiotu nieskończoną ilość optycznych (na płótnie: „barwnych“) — nuance'ów, jakie posiada natura w pierwszym rzędzie, a którą artysta łączył harmonijnie z człowiekiem, z jego właściwościami, a jakie jemu jedynie pozwalają go kojarzyć z nią w jedno!

Ten realizm przedziera się, poprzez szereg wizji, które w twórczości każdego artysty tworzą najwznioślejszą chwilę — w jego obrazie dają odbłask „wiekuistej prawdy“, odkrytej poprzez szereg wnikań, ażby się ostatecznie w pomysłach zrealizowały. „Stara Kastylja“, „Ofiara wesolego święta“ — niechaj będą wielką księgą dla poznania Zuloagi — artysty. Z jej barw, z szczegółów harmonijnego układu płynie ta moc, jaka stworzyła inne arcydzieła: „Kobiety z Sepulvedy“, „Wielki piątek“, tak znanego z reprodukcji „El Corcita“.

Aby rozumieć dzieło sztuki, należy się do niego zbliżyć „z kompasem oka“ — powiedział Hodler — Znaczy to, że nie wystarcza bynajmniej kryterjum szczegółów, ale potrzeba umiejętnego wniknięcia w całość obrazu, doszukania się w nim pełnej harmonji, abyśmy tak, jak artysta nań spoglądali.

Wówczas zobaczymy w kobietach Zuloagi ideały formy, przy wyzbyciu się małostkowości na korzyść potężnego odtwarzania subtelnych (nie, jak pragną snobi „czułościowych“, lub „zbyt rafinowanych“) wdzięków kobiecych, wyrażonych w namiętnej barwie, w wytwornej linii, w ześrodkowanej całości, która nadaje dziełu sztuki głęboką, realną prawdę!

Obrazy *L. Sambergera* wylaniają się niespodziewanie w społecznym sposobie ujmowania postaci na portretach. Wyrażenie wszelkich cech, oddających w twarzy człowieka w charakterystycznym wyrazie tej psychologicznej prawdy, niepospolity rysunek, łudzący wprost bogactwem linii, jakich się można doszukać w ludzkim obliczu — oto portrety — charaktery, lub jak chcą inni typy, jakie namalował artysta, jakie barwą i rysunkiem „opisał“ *Leon Samberger*, Zdziwiająca lekkość formy, a przecież silnym patosem wyrażona, jak luna, lub nimb odbija się z każdego obrazu. Nie widać nigdzie maniery, lub wpływu choćby Lenbacha, tak dominującego i pokutującego u monachijczyków w portretach; nie spotka się na obrazie Sambergera kaulbachowskiej słodczyckiej, głab duchowego pierwiastka dominuje ponad jednostronnem „fotografowaniem — malowaniem“...

Wyjątkowo dobrani artyści: Zuloaga i Samberger uzupełniają się, dając mimo wszystko odmienne cechy swej twórczości wielkich malarzy społecznych.

Wobec silnej, wizyjnej twórczości Zuloagi, nowożytniej formy portretu Sambergera, nikną rzeźby Flossmanna. Na pierwszym planie ich dekoracyjna strona, a koncepcje bez wielkiego wysiłku, dają „zwyczajne rzeźby“ — a nie, jakbyśmy się spodziewali (opuszczając salę Zuloagi), że znajdziemy równej miary arcydzieła. Przemawia z nich utylitaryzm, sztuka codziennego życia, lub ujawniona w małej koncepcji „chęć“ (w sztuce jest bez znaczenia) stworzenia dobrej rzeźby („*Matka*“).

Na tej ostatniej wystawie przemawia z obrazów silny gość społecznej sztuki, której tacy jak

I. Zuloaga, L. Samberger, nowe drogi torują — a „secesja“, (skupiająca w Monachjum wszystkich artystów sławnych), okazała pełną żywotność, że z tego pałacu przemawia ciągle „nowej sztuki“ hasło!

Michał Japołł.

◁○○○○○○○○○▷

## Park.

*Gdy złote sznury latarni, jak Arjadny nic,  
Rozbłysną nagle w ulic dusznym labiryncie,  
Park, co wyspą jest mroku, zda się szumi: Płyńcie!  
Płyńcie do mnie, gdy chcecie w mych cieniach się  
skryć!*

*Bo wszystkich rad ugościć dobrotliwy park,  
A gdy zwabi przechodnia w zaciszne aleje,  
Wnet ciemnym go muślinem mroku przyodzieje  
I czoło mu owionie całunkiem swych warg.*

*Jak w ukłonie przed każdym ławka w pół się gnie,  
Obiecując, że miło na niej chwile miną  
Sam na sam z samotnością, choć milej z dziewczyną,  
Którą los chwilą szczęścia dziś obdarzyć chce.*

*A nad głowami wzajem tulących się par  
W zielonym stropie liści noc gwiazdy już nieci  
I blask ciekawskich latarni towiąc w czarne sieci,  
Zdradziecko w krąg rozłącza narkotyczny czar.*

*Namiętą żądzą życia wszystko wokół drży  
I tętnem krwi wydzwania starą pieśń godową,  
Której całunkiem rwane w strzępy każde słowo  
Opuszczonym kochankom z ocz wyciska tży.*

Aleksander Naworski.

▷○○○○○○○○○◁

## Z RUCHU MUZYCZNEGO.

Tegoroczny sezon w Wilnie może już rokować pewne nadzieje co do przyszłości muzycznej tego miasta.

W powodzi ogłoszeń koncertowych zwracają uwagę afisze wileńskiej orkiestry symfonicznej i one też nadają tegorocznemu sezonowi muzycznemu cechę europejską.

Dziwnem jest tylko, iż jedynie społeczeństwo polskie dalekiem jest od zrozumienia, jak prawdziwie kulturalnym czynnikiem jest orkiestra symfoniczna, jak wszystkich sił dokładać należy, aby zapewnić jej istnienie i stworzyć warunki sprzyjające jej rozwojowi. Pod tym względem społeczeństwo polskie wykazało największą obojętność i zacofanie kulturalne.

Pomimo wszelkich trudności wynikających głównie z braku poparcia materialnego ze strony

warstw zamożniejszych, orkiestra prowadzi swoją kampanję, chociaż nie tak planowo, jakby to mogło mieć miejsce w innych warunkach. Usiłowania przyciągnięcia publiczności głośnym nazwiskiem solistów dały pożądane rezultaty na koncercie z udziałem Smirnowa. Sławny tenor posiada wielką umiejętność modulowania głosu, ale brak mu poczucia stylu wykonywanych kompozycji, stąd nawet takie arcydzieło jak „Ich grolle nicht“ Rob. Schumanna w wykonaniu Smirnowa miało cechy salonowego romansu.

Następne dwa koncerty z udziałem: koloraturowej primadonny Maryjskiego teatru, Katulskiej i dyrygenta tegoż teatru Malko, nie znalazły oddźwięku w rozbalowanym Wilnie.

P. Katulski wywarł bardzo korzystne wrażenie spokojem ruchów i wydobyciem dość subtelnego kolorytu z orkiestry (w czem pomocną była wyjątkowo duża ilość prób). Tłumnym znów był koncert symfoniczny z udziałem skrzypka Polakina, cudownego dziecka wkraczającego już w wiek młodzieńczy. Jedyne nieumiejętność opanowania swego temperamentu zdradza niedojrzałość młodocianego wirtuoza—interpretacja mało planowa bierze bezpośredniością uczucia przy technicznym wykończeniu.

Z dzieł symfonicznych usłyszeliśmy symfonię: „Szkocką“ Mendelsohna, „Z Nowego świata“ Dworzaka, V-tą Bethovena, g-moll Mozarta. Oprócz tego były wykonywane uwertury i poematy symfoniczne: Mozarta, Bethovena, Mendelsohna, Liszta, Noskowskiego, Czajkowskiego i innych.

Położenie geograficzne Wilna na drodze między Petersburgiem a Warszawą—dwoma wybitnymi ośrodkami muzycznymi sprawia, że w przejeździe występują tu prawie wszyscy wirtuozi. W ostatnim miesiącu mieliśmy takie znakomitości jak Backhaus (pianista o niezwyklej technice, trochę chłodny, t. zw. muzyk absolutny, zadawałający się barwnością kolorytu i czystymi kombinacjami dźwiękowymi bez nadawania im znaczenia historii duszy ludzkiej) i Hoffmann, w którego grze, choć idealnej pod względem technicznym i estetycznym, jak i w doborze programu przebijało pewne lekceważenie publiczności prowincjonalnej.

Mieliśmy również skrzypków: Manena (o olbrzymiej technice i niepośledniej miary artyzmie) i o wiele głębszego odeń Marteau — imponującego olbrzymim tonem i uduchowieniem interpretacji.

Usłyszeliśmy również po raz drugi w tym sezonie Barcewicza. Był to koncert klubu rzemieślniczego, który trwa dalej w chwalebny zamiarze urządzania koncertów o wysokim poziomie artystycznym.

Niezwykłe powodzenie miał pianista Smidowicz na koncercie Lutni. Duży i różnorodny program dał nam poznać artystę wybitnego, wszechstronnego, z usposobienia liryka, którego grę cechuje jak gdyby pewne zamyslenie.

Ocena zresztą koncertów urządzanych przez „Lutnię“ i wogóle całej jej działalności na tem polu wymaga osobnego sprawozdania.

H. Łopuska.

▷○○○○○○○○○◁

## Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. t. „Nowa placówka“, dotyczący założenia Biblioteki im. Eustachego i Emilji Wróblewskich, wymaga pewnych wyjaśnień.

Przedewszystkiem muszę sprostować wyrażenie, użyte przez autora artykułu, jakoby złożył społeczeństwu „magnacki“ dar, gdyż działałem tylko w myśl życzenia moich rodziców, a że przeznaczonych na cele społeczne pieniędzy nie przywłaszczylem — tego nikt chyba mi za zasługę poczytać nie może.

W kwestji ograniczonej ilości członków rzeczywistych zaznaczyć należy, że założyciele powodowali się tu jedynie przeświadczeniem, że instytucja funkcjonuje o wiele sprawniej przy określonej liczbie gospodarzy, rolę których w myśl ustawy pełnią właśnie członkowie czynni. Natomiast liczba członków wspierających i dożywotnich jest nieograniczoną, prawa zaś ich co do korzystania ze zbiorów T-wa są te same, co i członków czynnych.

Wreszcie niesłuszną jest zanotowana pogłoska, jakoby nasza Biblioteka miała konkurować z T-wem Przyjaciół Nauk. Jest to zupełnie niemożliwe z powodu działania obu instytucji w różnych zupełnie płaszczyznach. T-wo Przyjaciół Nauk, zarówno jak T-wo Naukowe Litewskie, gromadzą podług ustawy, zbiory swoje dla celów naukowych, swoich członków i wprowadzonych przez nich gości. Nasza zaś instytucja jest oświatową i organizowane przez nią czytelnice będą służyć do powszechnego użytku wszystkich żądnych wiedzy, bez różnicy płci, pochodzenia i wyznania.

Chyba w interesie „przyjaciół nauki“ leży rozwój czytelnictwa, jak również w interesie krzewicieli oświaty rozwój nauki.

Proszę przyjąć etc.

Tadeusz Stanisław Wróblewski.

oooooooooooo

## Marzenia o jawnogrzezniczcy.

Marja Magdalena, powieść przez Gustawa Daniłowskiego. Kraków. Spółka nakładowa „Książki“, 1913.

Gustaw Daniłowski przedsięwziął dzieło trudne i śmiałe: napisał „romans“, w którym znaczną część stanowi nauka i męka Jezusa Chrystusa. Gdy do przedmiotu takiego zabiera się pisarz religijny, można z góry przewidzieć ogólny ton narracji. Ale jakże wypadnie „powieść“ o Golgocie, gdy jej dotknie człowiek wolnomyślny? czy zdoła utrzymać się na tym wysokim poziomie, jakiego wymaga sama natura tematu a jednocześnie nie obrazić uczuć szerokiego mas czytelnicy, dla których powieść jest przeznaczona?

Daniłowski rozstrzygnął zagadnienie bardzo łatwo: w opisie nauczania Chrystusowego i Passji stanął ściśle na gruncie wersji Nowego Testamentu. Starał się słowa Chrystusa powtarzać o ile możności dosłownie z Ewangelji a przebieg pojmania, sądu i ukrzyżowania odmalował naogół bez żadnej głębszej inwencji poetyckiej. Najlepiej wypadły dość żywe postacie kapłanów żydowskich. Są to nietylko żarliwi opiekunowie starego zakonu, ale mściwi obrońcy własnych stanowisk. Mniej ciekawie narysował Daniłowski figurę Piłata. Nie ma on żadnego określonego charakteru. Oto np. próba jego dialogu: — „Czy wyście powarjowali?—wmaciacie we mnie, że dybię na śmierć tego człowieka. Ależ gotowym trzy dni spędzić o chlebie i wodzie, by go ocalić, choćby na złość kapłanom. Marzyciel, zgoda—ale jak się wam zdaje? czy słowo to wystarczy, gdy wypadnie mi zdawać sprawę przed Cezarem? Nie!—i słusznie! Z marzenia wszystko się poczyna, marzenia szybko bujają w kłos i ści-

nać je póki czas należy — tak powie Tyberjusz. Sejan też marzy... Dla romantycznej (!) historii chcecie, bym poświęcił karjerę, głowę nadstawił dla pięknych oczu Marji“.

W takiej bezstylowości utrzymana jest cała tragedia Golgoty. Ani razu Daniłowski-poeta nie nie dojrzał kolosalnego patosu chwili, ani razu nie drgnęło mu silniej serce. O cudach Chrystusa, śmierci, zmartwychwstaniu opowiada ze spokojem realisty, jak o wypadkach bardzo zwyczajnych i pospolitych. Swego poetyckiego stanowiska do przedmiotu nie odsłania nigdy: jest niezdecydowany, albo szablonowy; nie chce obrazić uczuć chrześcijańskich, ale sam nie ujawnia też żadnych określonych uczuć.

Według planu opowiadania, Pasja miała być tylko centralnym epizodem „powieści“, poświęconej historii Marji Magdaleny. Nawet przy takim planie nie podobna zmniejszać okoliczności chwili, która stanowi epokę w dziejach moralnych świata. Poeta, który tematu takiego dotyka, winien dać własną wizję dziejowego momentu, aby dostatecznie usprawiedliwić potrzebę swej opowieści.

Daniłowskiemu chodziło o „psychologję“ Marji Magdaleny. Jakże ją skonstruował? Historia Marji Magdaleny nie jest dostatecznie ustalona. Jedna tradycja mówi, że była siostrą Łazarza i Marty; inna, przyjęta przez kościół wschodni, przez krytyków protestanckich, a nawet przez niektórych doktorów katolickich XVI wieku, zapewnia, że Marja Magdalena—jawnogrzezniczka z Naim i Marja z Betanji, siostra Marty i Łazarza—to dwie odrębne osoby. Daniłowski wierny jest w swej powieści pierwszej tradycji. Była mu dogodna dla zwartszej budowy powieści.

Czy jednak to przebywanie w biednej, poczciwej rodzinie Łazarza daje się pogodzić chociaż jako tako z życiem Magdaleny? Daniłowski nie chciał z niej uczynić pierwszej lepszej dziewczki sprzedanej. Byłaby za mało interesująca. Ubrał ją nietylko w krasę nadzwyczajną, ale w bogactwa, inteligencję, wyrafinowanie, ponęty wielkiej hetero greckiej. Magdalena prowadzi żywot, którego wystawności i zbytku mogłaby jej pozazdrościć Chryzys Louysa z jego „Afrodyty“. Odmalowawszy dekoracje tego żywota z niemalym talentem, Daniłowski doszedł do szczególnego wniosku, że dla stworzenia podłoża duszy Magdaleny dobrze będzie „przerobić“ w marzeniu wszystkie lekcje orgji zmysłowych, do jakich Magdalena była zdolna. Taki podręcznik jawnogrzeznicztwa w Betanji nie podobał się, oczywiście, prokuratorji krakowskiej, która książkę skonfiskowała; do nas zaś dostały się egzemplarze „Marji Magdaleny“ z mocnym wykropkowaniem jej poglądowych wykładów grzechu. Nic nie pomogły rezolutne zastrzeżenia Marji Magdaleny, która, „przeciągając się rozkosznie“, takie powtarza za autorem uogólnienia obyczajowe: „Czego się jedni wstydzą, to inni rzeźbią na krzaczach, na drzwiach, a na straży lasów, rozłożystych drzew, zacisznego, stworzonego dla schadzki cienia, stawiają chutne bóstwo: Pryjapa. U nas jest wszystko zdrożne—myślała—spętane surowym przepisem twardego zakonu! a tam na wschód i zachód szeroki, kipiący radością życia świat, gdzie upojenie miłosne nie jest grzechem, lecz darem bogów, przedmiotem sztuki i religijnego obrządku! Tu psalmy jęczą pokutne, a tam cudną helleńską mową dzwonią pieśni weselne, słodkie głosy fletni, tańce polotne“. Pomimo tych zastrzeżeń, racja... „przerabiania“ praktyk kurtyzańskich Marji Magdaleny nie została przez autora dosta-

tecznie uzasadniona. Niema w nich tej siły fatalnej, która reguluje formy grzechu, która pograża istotę w piekło niepokojów ciała; jest tylko swawola marzenia, dla której karą będzie niezdrowa sensacja.

Co gorsza, cały ten żywot Marji aż do chwili spotkania Chrystusa, nie zdoła wyjaśnić jako tako późniejszego jej przeobrażenia wewnętrznego. Prócz pewnych napomknień o historii Magdaleny, niema w tej pierwszej fazie jej życia żadnych oznak zdolności gwałtownej przemiany niedalekiej. Trzeba było poprzestać na rozważkowaniu wersetów biblijnych. Nad jednym tylko Judaszem zastanowił się autor głębiej i starał się uczynić z niego postać, odskakującą nieco od szablonu. Judasz włóczył się po różnych krajach. Ma duszę chorą i niespokojną, a pełen jest żądzy wszelakich. On to uwiódł Marję, on pierwszy staje przy Chrystusie, biorąc jego naukę dosłownie, t. j. oczekując wciąż przewrotów państwowych, nowego króla i t. d. Nawet zdradzając, Judasz myśli wciąż, że zmusi w ten sposób Chrystusa do działania. Samobójstwo Judasza pozostawił autor w cieniu; tylko Marja, która odnajduje jego trupa, bierze w swe dłonie rozsypane przy nim srebrniki i rzuca je w... „wierne rzekę“.

Dopiero w ostatniej części powieści, po ukrzyżowaniu, zbliża się Daniłowski do Marji z odrobiną poezji. Poezja to wciąż wąta, niepewna, ale ujawnia się pomimo wszystko. Mniej wyraźna w malowaniu życia Marji w grocie, zyskuje barwę i mocny wyraz w opisach pobytu Magdaleny w Marsylji, historii jej stygmatów, wreszcie ofiarnej śmierci przy krzyżu, który wystawili wierni na jej żądanie, aby mogła powtórzyć ból męki Chrystusowej, złączyć się ze swym oblubieńcem na krzyżu. Niestety, i w tych końcowych, najpiękniejszych stronicach, zbyt razić będzie czytelnika udana wiara w mistyczną legiendę. Po przez realizm autora dostrzegamy sceptyczny jego uśmiech, który tem właśnie drażni, że się tak po za naiwnością wersji.

„Marja Magdalena“ jest niewątpliwie dziełem talentu. Wadą jej — zmacony ton opowiadania, próba połączenia sprzecznych nastrojów, pogodzenia tradycji chrześcijańskiej z chłodnym roztrząsaniem realisty. Gdy do tych szkopułów dodamy jeszcze trzeci: niepotrzebne opisy kurtyzaństwa Marji, zrozumiemy, że ta szczególna „powieśność“ stanie się niezawodnie przedmiotem bardzo żywych, ale przeważnie... jałowych dyskusji.

Jan Lorentowicz.

▷○○○○○○○○◁

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Wacław Gąsiorowski. *Babilon*. str. 329. Warszawa 1912. Nakład kary przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

W publicystyce polskiej utaiło się mniemanie, że Francja społeczna znajduje się w stadium zupełnej korupcji. Zdanie to nie jest tylko polskiej publicystyki odkryciem. Niemcy wytrwale dążą do unicestwienia zewnątrz siebie wpływów francuskich i przez to rozpuszczają na świat cały podobne wyroki.

Książka p. Gąsiorowskiego chce obalić wszy-

stkie te niesłuszne mniemania. Ze wszystkich więc stron stara się przedstawić życie społecznej Francji. Polityka, ekonomja, życie społeczne i artystyczne, życie rodzinne — wszystko to obejrzał p. Gąsiorowski i komunikuje nam rezultaty swoich oględzin. Nie może być mowy bowiem o wyczerpującem studjum. Chodziło p. Gąsiorowskiemu tylko o rolę sumiennego sprawozdawcy — korespondenta, co miejscami udaje się mu w zupełności.

Zasadniczą cechą społecznego życia w Francji jest niesłychana intensywność pracy. Kto patrzył w stosunki francuskie nie z okien teatrzyków, knajp i nocnych spelunek, a wszedł w sam wir tego wiecznie spieszącego życia, musiał zdumieć się, jak zachłannie, jak wyteżenie tu pracują. Po za tą pracowitością uderzy też każdego dziwna radość, słoneczna jasność charakteru i ducha. Francuz się nie martwi, francuz nie wyciąga rąk o pomoc, francuz nie liczy na nikogo. Nauczył się ufać siłom własnym, idzie naprzód odważnie i bez trwogi. Ufając sobie — francuz umie ufać każdemu. P. Gąsiorowskiego nie dziwi z jaką łatwością francuzi udzielają kredytu każdemu człowiekowi, choć niema dnia, by dzienniki nie przynosiły wiadomości o oszustwach. Prawo francuskie dla oszustów, podstępnych bankrutów jest niełitościwe.

Tego rodzaju psychologiczne zalety odszukał p. Gąsiorowski u francuzów. Co do kobiety francuskiej — mówi p. Gąsiorowski, że jest dobrą matką, oszczędną gospodynią, pracowitą pomocnicą męża. Jest wymagająca w swoim uczuciu, ale i wierna, jak rzadko. Tylko w podłych ramotach czyta się o „niewiernych“ francuskach. W rzeczywistości zaś procent niewiernych małżonek napewno nie jest większy, niż w państwie bojaźni bożej i pruskiej pikelhauby.

Mówi się też o anarchji rządów we Francji. Pan Gąsiorowski dostrzegł niesłychaną sprawność w rządach rzeczypospolitej. Funkcjonuje tu wszystko nie gorzej, niż w innych państwach. Ze upada jakiegoś ministerjum, że jakiś kacyk niedługo utrzymuje się na powierzchni — to wcale nie znaczy, że krucho są fundamenty państwowości francuskiej. Rzeczpospolita stoi na energii i dzielności swoich dyplomatów, na roztropności deputowanych i polityków. Duch obywatelski tak rozwinięty jest w społeczeństwie, że w każdej chwili dla dobra ogółu umie on poświęcić swoje nawet nieraz słuszne pretensje. W cyfrach rozwój stosunków przedstawia się zupełnie wyraźnie. Widać, że niema tu rozkładu.

Dług publiczny z 12 miliardów zmniejszył się do 4-ch, pomimo, że wydatki na cele wojenne podniosły się w trójnasób. Nie mówi się tu o takich wydatkach, jak ministerjum oświaty. Przecież w roku 1869 etat tego ministerjum wynosił tylko 24 milionów franków. W 1909 roku uchwalono 274 miliony na cele oświatowe. Zdaje się, że już te liczby świadczą o ekspansji francuskiej. Trzeba bowiem dodać, że liczebność francuzów od tego czasu zaledwie o jeden milion się zwiększyła. (1869 roku — 38 mijonów. 1906 — 39 milionów).

Książka p. Gąsiorowskiego jest bardzo interesująca. Byłaby jeszcze więcej interesująca, gdyby pan Gąsiorowski powstrzymał się w swoich zachwytach dla Francji i nie apoteozował burżuazji. Co więcej, robi pan Gąsiorowski z mieszczaństwa francuskiego jakichś idealnych obywateli, sądzi, że ich episerski i oszczędnościowy rozumek powinien się stać pochodnią prowadzącą

życie społeczne. Dla nas Polaków, żyjących w quasi — konstytucyjnych państwach obywatelskość urzędów francuskich jest bez wątpienia pożądanym czynnikiem. Nie znaczy to jednak, iż jest to ostatni wyraz, ostatni szczebel w rozwoju społecznym.

Nawet w robotniku francuskim podkreśla p. Gąsiorowski pierwiastki epischerstwa i uważa je za „zdrowy instynkt”. Solidarność klasowa proletariatu francuskiego jest wymysłem dla autora „Babilonu”. Sądzi on bowiem, że Jaurés, Hervé, oraz wogóle stronnictwa polityczne, reprezentujące robotników nie są wcale rewolucyjni. Wypowiada się przez te partje taki sam gienjusz francuskiego narodu — jak i przez inne stronnictwa, nie pozbawiony instynktu samozachowawczego i nie więcej.

Nie zupełnie też dobrze wyjaśnia p. Gąsiorowski przyczyny wyludnienia Francji. Jeżeli bowiem rzeczywiście tak jest, jak opowiada p. Gąsiorowski, to nie znaczy wcale, że należy z tego brać przykład.

Dziennikarstwo, życie parlamentarne wraz z różnymi „panamami” oraz „dreuffusjadami” — nie przerażają, ani dziwią. Są one oparte na chęci zysku, zarobku. Tu bowiem każdy marzy, by zostać rentjerem. Tu nawet stróż, „concierge” odcinają rentę. A więc i sprzedajna krytyka i wściekła reklama literacka i artystyczna — są „normalnym” wykwitem tych „zarobkowych” stosunków.

Gdy się odrzuci balast uwielbień p. Gąsiorowskiego dla mieszczaństwa — książkę z pożytkiem przeczytać można. O rozkładzie bowiem moralnym epischerji z nad Sekwany — pisali i piszą sami Francuzi. Mieszczaństwo wprawdzie nie skończyło jeszcze swojej historycznej roli, ale też nie jest już w zaraniu twórczych, życiodajnych młodych sił. To należało zaznaczyć przy omawianiu stosunków francuskich. Pan Gąsiorowski zaś wolał przedstawić mieszczaństwo, jako klasę twórców a Rzeczpospolitą, jako apoteozę ich rządów.

**Stanisław Przybyszewski.** Wyzwolenie. (powieść) „Mocnego człowieka” część II. str. 311, Warszawa (bez daty) Nakład Gebethnera Wolffa.

Bielecki popełnił szereg zbrodni klócających się z kodeksem karnym i moralnym dla jednej jedynej fantasmagorji, dla sławy. Ukradł dramaty, który otrzymały na konkursie pierwszą nagrodę i chcąc, by nie wydała się tajemnica kradzieży, utopił swą kochankę.

Sławę zyskał, lecz spokój jego odszedł gdzieś daleko. Wytężona czujność sumienia nurtuje cały jego organizm. Ciągłe czuwa w mózgu myśl okropna, przypominająca za jaką cenę zdobył rozgłos, śmieszny nimb glori.

Problemy psychologiczne Bieleckiego jest nadzwyczaj interesujący, gdyż chodzi tu o stosunek człowieka do pisarza. Każdy pisarz okrada siebie, jako człowieka. Nie żyje, jak zwykły śmiertelnik, lecz zawsze czyha w nim osobnik, który każdy szczegół transponuje na epizod dramatyczny czy powieściowy. Przybyszewski postawił pytanie, czy warto dla sztuki poświęcać siebie jako człowieka?

Bo przecież artyści popełniają różne niedorzeczności, różne życiowe nonsensy i z tych konfliktów tworzą swoje poematy. Gdy zbierają kwiaty i uznanie za swoją sztukę, przestają być ludźmi. Są tylko pisarzami, są sprytnymi konstru-

ktorami, którzy krew jakiegoś przeżycia umieją zamknąć w pewną gładką a ekspresyjną formę.

Otoż czy sztuka usprawiedliwia ich życie? Przybyszewski w pierwszym okresie swojej twórczości zupełnej udzielał abszolucji artystom dla ich sztuki. Sztuka mazała wszystkie winy. Ciekawe, że obecnie zagadnienie w inny sposób rozwiązuje. Dziś miłość, dziś życie, dziś prawda rehabilituje artystę wobec sumienia i ludzi.

To przesunięcie punktu ciężkości jest nad wyraz znamienne. W stosunku do przeszłości, jest niemal całkowitem zaprzeczeniem.

Bielecki w miłości dla Niny odnalazł odkupienie, odnalazł wyzwolenie ze swoich dramatów. Miłość stała się djonizejskim hymnem, który słodkimi swymi melodjami łagodzi i unicestwia wszystkie zgrzyty duszy.

Perypetje zatargu moralno - psychologicznego opowiedział z właściwą sobie furją Przybyszewski. Zdolność uplastyczniania najbardziej subtelnych zgrzytów dialektyki moralnej wyraziście mówi poprzez dosadne stroniczki ostatniej powieści autora „Wigilji” o niesłychanej jego wrażliwości dla spraw psychologii i etyki.

Tło powieściowe doskonałe. Nie wszystkim może przypada do gustu ten goyowski rodzaj sztuki, jaki uprawia Przybyszewski, lecz jest to kwestja estetycznych zapatrywań, a nie ma ona nic wspólnego z większą lub mniejszą wartością dzieła.

Typy ludzi narysowane zwięzłe, wyraźnie. Długo pozostają w pamięci kawiarniani gienjusze Przybyszewskiego, lub też owa Egerja, Ada. Język o szerokim, prozodyjnym rytmie, okresy płynne i wartkie, przykuwają uwagę czytelnika i trzymają w skupieniu poprzez cały ciąg interesującej opowieści.

**Gustaw Olechowski.** Dzieje mężczyzny. (powieść) str. 409. Warszawa (bez daty) Nakład Gebethnera i Wolffa.

Właściwie powieść pana Olechowskiego powinna się nazywać pamiętnikiem erotycznych przygód Stanisława Bruzdy. Od 15 roku życia opowiada swoje dzieje miłosne, przygody alkwiane. Zaczyna od służących a kończy w egzotycznej krainie Kongo na czarnoskórej córce słonecznej Afryki swoje kawalerskie eksperymenty. Wreszcie, jak przystało na solidnego człowieka żeni się... z miłości. O tych dziejach nie opowiada już p. Olechowski.

Najciekawsze stroniczki pamiętnika p. Bruzdy są te, które dotyczą Kongo. Wiele w nich barwnych uwag o obyczajach tamtejszych, o gospodarce białych. Gdyby nie te stroniczki, powieść była by bardzo niezajmującą. Nic w niej niema bowiem, coby mogło naprawdę skupić czy zainteresować. Tyle już naczytaliśmy się o różnych awanturach salonowo-buduarowych, o różnych romansach lekarzy z księżniami czy hrabinami. Masaż jest dobrą rzeczą, o ile nie usprawiedliwia grzeszków, które w konsekwencji skazują delikwentów znów na... masaż. Pojedynek p. Bruzdy się udał, ale pamiętniki zbyt są długie.

*Eustachy Czekański.*

## Bez steru.

Korespondent petersburski „Przeгляdu Codziennego“ stwierdza, że w toku prac czwartej Dumy, coraz bardziej daje się odczuwać brak trwałego centrum, brak środka, który mógłby określić i wytknąć w mniejszym lub większym przybliżeniu linię przewodnią polityki prawodawczej.

Nacjonalisci, którzy w okresie stołypinowskim usiłowali stanąć u steru działalności Dumy i dzięki którym przeprowadzone zostały tak poważne, przewrotowe reformy, jak oddzielenie Chełmszczyzny, uszczuplenie praw konstytucyjnych Finlandji, ziemstwa na Litwie i Rusi, okazali się niezdolnymi do jakiegokolwiek pozytywnej, budującej pracy.

Zresztą było to do przewidzenia. Partja ta, powstała na kresach, jest wyłącznie produktem nienawiści dla opornych rusyfikacji mniejszości narodowych. Tam, gdzie niema kwestji narodowościowej, mikrob nacjonalizmu rosyjskiego szybko zanika.

Październikowcy oddawna już przestali egzystować, jako ściśle zarysowana partja polityczna. Była to partja Guczkowa. Po smutnym fiasku i ustąpieniu jego z widowni, pozostała nieskoordynowana grupa bez wodza, bez idei. Lada powiew, szczególnie zaś, o ile pochodzi ze sfer górnych, może ich pchnąć w tę lub ową stronę.

Skrajna prawica jeszcze mniej, niż nacjonalisci, stworzona jest do pracy parlamentarnej. W dodatku jest ona zasadniczo przeciwną samemu istnieniu parlamentarizmu. Czyż można poważnie traktować Puryszkiewicza, Markowa II lub Szulgina, jako prawodawców?

Postępowcy i kadeci stanowią być może najodpowiedniejszy materiał dla twórczości konstytucyjnej. Przy innych warnnkach byliby oni naturalnym punktem ciężkości Dumy, skoro jednak warunków tych niema, drudno operować fikcjami.

Reszta opozycji, składająca się z drobnych grup, zbyt słaba jest i zbyt rozstrzelona, by móc wywierać jakiś wpływ poważniejszy na kierunek działalności Dumy.

Ten stan rzeczy wymownie się zaznaczył podczas ostatnich obrad z powodu wystąpienia ministra Kasso, jak również i w kilku innych wypadkach.

A jednocześnie, co jest rzeczą wysoce charakterystyczną, ujawnił się pewien opozycyjny nastrój tej różnolitej, różnobarwnej zbieraniny, jaką przedstawia Duma państwowa, w stosunku do polityki rządu.

Przyczyny jasne. I ze strony rządu niema tej świadomej, konsekwentnej, prostolinijnej w raz obranym kierunku polityki, jaka cechowała gubernatorskie rządy Stołypina.

Koła liberalne nie bez pewnej sympatji powitały nowego ministra spraw wewnętrznych, Makłakowa, który w swych mowach inauguracyjnych zapowiedział okres panowania prawa w życiu państwowem. Powiało przez chwilę wiosną.

Było to jednak tylko złudzenie. Okazało się, iż nowy minister, mimo swych rozległych pełnomocnictw, nie jest widocznie mocen dokonać zamierzonego przez siebie dzieła. Już pierwsze jego kroki, przedsięwzięte w celu sanacji niektórych gałęzi władz administracyjnych, spotkały się z wyraźną niechęcią ze strony sfer miarodajnych.

Jeżeli zaś w łonie samego gabinetu zaznaczyły się rozbieżne prądy, niepodobna przypuścić, by nastąpił jakiś bliższy, umożliwiający zgodną pracę, kontakt pomiędzy gabinetem a Dumą państwową.

W atmosferze nieokreśloności, jaka zapanowała na całej linii, przyszłość zarysowuje się bardzo mgli-

sto. Na razie wypadki zewnętrzne i sytuacja międzynarodowa odciągnęły nieco uwagę rosyjskich sfer politycznych od bliższych zagadnień.

Co nastąpi potem, gdy czwarta Duma wdroży się w swe funkcje prawodawcze, trudno powiedzieć.

W każdym bądź razie w dobie obecnej, dobie depresji społecznej i wyjąłowienia, na wielkie niespodzianki i możliwości ze strony grand inconnu, jak lubią Rosję nazywać cudzoziemcy, liczyć nie należy.

□□□□□□□□□□

## NA WIDNOKRĘGU.

We Francji i w Niemczech zapanowały nastroje walki podczas pokoju. Rządy obu państw wnoszą projekty nowych uzbrojeń, a prasa tu i tam, rzuca stronie przeciwnej mniej, lub więcej ostre pogrózki. Przed samym wybuchem wojny bałkańskiej, dawało się dostrzegać w dziennikach paryskich i berlińskich dość znaczną zgodność zapatrywań, wypływającą z pewnej zgodności interesów w kwestji utrzymania Turcji. Ale w miarę, jak rozwijał się kryzys wschodni i przybierał rozmiary wielkiego przesilenia, stającego się dla wszystkich mocarstw próbą siły i znaczenia, Francja przeszła stanowczo do polityki aliansu podwójnego i zaczęła ją akceptować bardzo wyraźnie.

Jakże błędne w porównaniu do dzisiejszego było stanowisko Francji podczas zatargu aneksyjnego! Potrzeba aż było późniejszych wynurzeń i zapewnień, ażeby przekonać opinię, że rząd rzezypospolitej nie zamierzał opuścić Rosji, że w razie potrzeby gotów był śpieszyć jej z pomocą.

Dzisiaj jest zgoła inaczej. Francja wyraźniej, niż kiedykolwiek manifestuje chęć odgrywania polityki mocarstwowej. Pragnienie to datuje się od znanego zatargu agadirskiego, który zadał dotkliwy cios dumie narodowej francuzów.

Wytworzyła się wówczas tak szczególna sytuacja, że w obu spółzawodniczących krajach opinja publiczna odczuwała w wyniku owego zatargu swoją porażkę, której winę przypisywała własnemu rządowi. Pangiermaniści biadali nad słabością polityki niemieckiej, która zadowoliła się nędznym ochłapem francuskiego Konga, zamiast wolę swą podyktować Francji i Anglii i tem określić stanowisko Niemiec w Europie. Zamiast głosić swe zwycięstwo, szowiniści pangiermańscy podnieśli niebyswały lament, skarżąc się na klęskę i upokorzenie. Klęska zaś polegała na tem, że nie wzięli tyle, ile pragnęli.

Ale jeszcze gorzej powitano rezultat sporu we Francji. Minister Lebrun oblał go w Izbie deputowanych łzami. Za upokorzenie Francji uznało go wielu wybitnych polityków, a Poincaré, obejmując urząd, dał do zrozumienia, że zawarta umowa jest poniekąd faktem dokonany i musi być zatwierdzona pomimo jej stron ujemnych.

Agadir wywołał we Francji reakcję na korzyść patryjotyzmu i militarizmu. Minister wojny, Millerand, pozwolił sobie w tym kierunku na wiele rzeczy, które uchodziły za niemożliwe od znanego przełomu, związanego ze sprawą Dreyfusa. Poincaré, jako kierownik polityki zewnętrznej, usiłował nadać mocniejszy ton wystąpieniom rzezypospolitej na zewnątrz. W początkach kryzysu bałkańskiego wygłosił znaną mowę, w której oświadczył, że Francja nie pragnie wojny, ale się jej nie boi.

Stanowisko Francji podczas obecnego kryzysu odznacza się daleko posuniętą aktywnością. Wprawdzie występuje ona w roli aliantki Rosji, ale tym razem spełnia ją ze swym własnym impetem i ze szczególnem zaangażowaniem własnej godności mocarstwowej. W stosunku do Austrii postawa prasy francuskiej prawie nie różniła się od rosyjskiej, bywały nawet tygodnie, kiedy panslawizm nad Sekwaną wydobywał tony namiętniejsze, niż nad Newą.

W zwycięstwach koalicji bałkańskiej, w pogromie Turcji alians podwójny widzi zadatek swego własnego zwycięstwa nad trójprzymierzem. Dla Francji sukcesy związku bałkańskiego stanowią część jej historycznego odwetu, oraz powrotu do zapomnianych tradycji mocarstwowych.

W tych warunkach wielkie projekty militarne, zainicjowane prawie jednocześnie, mają swą szczególną wymowę. Francuski stanowi odpowiedź rzeczową na niemiecki, odpowiedź do takiego stopnia bezpośrednią, że na opinię europejską, przede wszystkim zaś na opinię obu tych krajów, musi to robić wrażenie skrzyżowania szpady. Niemiecki partner dorzuca na szalę wielki ciężar i patrzy w oczy swej rywalce, czy nie dostrzeże lęku i odruchu wstecz.

Chodzi o to, że Francja środkami zwyczajnymi nie może dotrzymać kroku przyrostowi siły niemieckiej. Pozostaje jej środek nadzwyczajny — wznowienie służby trzyletniej. Tu jednak wchodzi w grę opór socjalistów i innych żywiołów radykalnych, które we Francji posiadają wpływ o wiele większy i realniejszy, niż w Niemczech.

Decyzja narodu francuskiego, która zapadnie w najbliższej przyszłości, będzie miała pierwszorzędne znaczenie. Już w czasie pokoju określi ona ze znacznem prawdopodobieństwem moralny stopień pogotowia wojennego, jaki w narodzie tym spoczywa.

□□□□□□□□□□

## KRONIKA.

### — Zawieszenie T-wa Kultury Polskiej.

Z rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego działalność T-wa Kultury Polskiej i oddziałów została zawieszona.

Zawieszenie to ma charakter tymczasowy; nastąpiło ono wskutek raportu, złożonego przez władze policyjne, a zarzucającego T. K. P. pogwałcenie ustawy.

W celu wyjaśnienia, o ile dane zawarte we wspomnianym raporcie odpowiadają rzeczywistości, gubernator warszawski zarządził przeprowadzenie specjalnego dochodzenia, oraz polecił wy badać członków zarządu T-wa. Jeżeli wyniki wszczętego dochodzenia potwierdzą zarzuty, zawarte w raporcie, wówczas kwestja ostatecznego zlikwidowania Towarzystwa Kultury Polskiej poddana będzie orzeczeniu komisji gubernamentalnej do spraw stowarzyszeń—co potrwa nie mniej, niż miesiąc czasu.

W rasie przeciwnym, t. j., o ile zarzut pogwałcenia ustawy nie znajdzie potwierdzenia, wznowienie działalności T. K. P. nie jest wykluczone.

### — Sprawa ks. Hanicza.

Dnia 7 lutego departament kasacyjny Senatu, osądził sprawę księdza Antoniego Hanicza, z gub. mińskiej, oskarżonego o to: 1) że ochrzcił dziecko małż. Sereda, wiedząc o tym, że tylko matka dziecka jest katoliczką, 2) że, w charakterze proboszcza, fałszywie zapisał do ksiąg owe dziecko, jako nieślubną córkę niejakiej Pawłowskiej i 3) że w imieniu Pawłowskiej napisał fałszywą prośbę o ochrzczeniu jej córki.

Izba sądowa w Wilnie pomimo tego, że większa część oskarżenia została obalona przez 10 świadków, skazała ks. Hanicza na pozbawienie szczególnych praw oraz na rok i 4 miesiące twierdzy.

Senat skasował wyrok Izby i nakazał ponowne osądzenie sprawy.

### — Konfiskaty.

W Warszawie uległy konfiskacie numery „Kurjera Warszawskiego“ i „Gońca“ za przedruk z „Kurjera Litewskiego“ opisu uwięzienia ks. Miłaszewskiego, oraz numer „Kurjera Porannego“ za artykuł „Zawieszenie T-wa Kultury Polskiej“  
W Wilnie został skonfiskowany № 33 „Kurjera Krajowego“ za artykuł wstępny p. t. „Chwila osobliwa“.

### — Uchwały stronnictw galicyjskich.

Odbyły się w Galicji zjazdy delegatów stronnictw ludowego i demokratycznego. Uchwalono na nich wystąpienie z Rady Narodowej i przystąpienie do Komisji Tymczasowej.

### — Konwencja literacka Niemiec i Rosji.

Na naradzie pełnomocników Niemiec i Rosji celem warcia konwencji literackiej przyjęto projekt w redakcji bardzo zbliżonej do konwencji francusko-rosyjskiej. Zmiany, w porównaniu z tą ostatnią, przyjęte na posiedzeniu, mnją na celu, o ile można, zbliżenie do zasad autorskiego prawodawstwa rosyjskiego. To było tem łatwiejszem, że odnośne prawo niemieckie w swojej treści zbliża się bardziej do rosyjskiego, niż do francuskiego.

Dnia 15 b. m. miało nastąpić ostatnie posiedzenie pełnomocników, poczem projekt konwencji będzie wniesiony do parlamentu niemieckiego, a w Rosji—do rady ministrów.

### — Rozłam u październikowców.

„Riecz“ donosi, że w związku z wyborami do przyzdyum frakcji październikowców wynikł rozłam w jej łonie. Na prezesa i wiceprezesa wybrani zostali Antonow i hr. Bennigsen, zaliczający się do prawego skrzydła tej partji, która również pragnie obsadzić swymi zwolennikami stanowiska drugiego wiceprezesa oraz drugiego sekretarza. Lewica październikowców nie chce się na to zgodzić, uważając, że jest to odchylenie się ku prawicy. Październikowcy lewicowego autoramentu stawiają sprawę na ostrzu noża, twierdząc, że w takich warunkach niemożliwa jest swobodna praca. To też, o ile większość urzeczywistni swój zamiar, lewicowi październikowcy prawdopodobnie wystąpią z frakcji.

.....  
Z rozporządzenia komitetu prasowego № 5-6 „Przeglądu Wileńskiego“ został skonfiskowany.  
.....

## Sprostowanie.

W artykule: „Arystydes Briand“ w № 5-6 „Przeglądu Wileńskiego“ — str. 7, 1-a szpalta, 4-ty wiersz od dołu—należy czytać „opinji powszechnej“.

## Treść numeru.

Wzbierająca fala. — L. Abramowicz.

Większość i mniejszość. — Poseł czynu.

Dzieło „Ibów szalonych“. — Z. Polkowski.

Po latach pięćdziesięciu. — J. K.

Arystydes Briand. — St. Posner.

Secesja monachijska. — M. Japołł.

Park. — A. Naworski.

Z ruchu muzycznego. — H. Łopuska.

List do redakcji.

Marzenia o jawnogrzesznicy. — J. Lorentowicz.

Przegląd piśmienniczy. — E. Czekalski.

Bez steru.

Na Widnokręgu.

Kronika.

Odcinek: „Piotr Buza“. — Z. Tyski.



Każdy bezwarunkowo ma możność gruntownego nauczania się  
**JĘZYKÓW** francuskiego, angielskiego,  
 niemieckiego i łaciny.

(Czytania, pisania i biegłej konwersacji)

**BEZ POMOCY NAUCZYCIELA w ciągu 2-3 miesięcy, a nawet i prędzej.**

(zależy to od pilności i zdolności)

stosując naszą metodę nauki, i używając naszych **SAMOUCZKÓW.**

**NAUKĘ GWARANTUJEMY!**

W przeciwnym razie **zwracamy pieniądze** po upływie trzech miesięcy!

Tysiące osób, należących do najrozmaitszych sfer towarzyskich nadesłały nam

**WYRAZY UZNANIA i PODZIĘKOWANIA!**

Żądane podręczniki wysyłamy przekazami pocztowymi.

**CENA Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:** jednego Samouczka rb 1 kop. 27; dwóch Samouczków rb. 2 kop. 25; trzech Samouczków rb. 3 kop. 16; czterech Samouczków rb. 4 kop. 05.

ADRES:

St.-Petersburg, Italjańska № 15—140, Redakcja czasopisma „ВОЛНА ЖИЗНИ“.

Pozostające pod zarządem Ministerjum handlu i przemysłu

**Kursy buchalterji N. J. i A. J. MOCHOWÓW**

DLA OSÓB PŁCI OBOJGA.

WLNO, Ś-to JERSKA 44.

Podania są przyjmowane. Wykłady zostaną rozpoczęte d. 1 lutego. Opłata wynosi 100 rubli. Na kursach będą wykładane: buchalterja, arytmetyka handlowa, korespondencja handlowa, prawoznawstwo, języki cudzoziemskie i arytmetyka ogólna. **PROGRAMY BEZPŁATNIE.**

Kancelarja otwarta od 10-tej do 4-ej po poł.

Do nabycia książka, polecana przez Kom. Nauk. Min. Handlu i Przem.

**N. MOCHOWA**

Buchalterja -- kurs młodszy teoria i praktyka.  
Cena 1 rb. 50 k.

**INTROLIGATOR  
ALEKSANDROWICZ**

Wilno, Tatarska, 11.

Telef. № 12-24.

PRAKTYCZNIE. ... ŁADNIE.  
TANIO.

**BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE**

SPECJALISTY-LEŚNIKA

**Józefa Łastowskiego**

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)

Wilno, prosp. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

**Parcelacja, likwidacja**

majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

**Urządzenie gospod. leśnych**

oraz innych robót w zakresie leśnictwa wchodzących.  
Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

**Czytelnia E. ŻUKOWSKIEJ**

Wilno, Skwer Ś-to Jerski 3, m. 5.

Otwarta jest codziennie od godziny 11-ej do 7-ej prócz niedziel i świąt.